

W NUMERZE

ZBÓDZA

CZTERY KOLUMNY
MŁODOLITERACKIE

O

„ABBIE”

pisze
Istvan Grabowski
str. 14

Kamena

LUBLIN 14 X 1979 NR 21 (689)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

12 X ŚWIĘTO WOJSKA POLSKIEGO



Żołnierz — linoryt Andrzeja Chodorowskiego. (W numerze dokończenie reportażu Alojzego Srogi „Saper z Jedlanki”)

Zawód: —rodzice

Bronisław Kowalski

Jeden domek już stoi. Panoszy się w przestrzeni, rozpycha, bo zbudowano go na pokaz. Świetli się bielą tynków, drewnem i szkłem. Czasami przychodzi ktoś z osiedla jednorodzinnych klocków z naprzeciwka, ogląda, cmoka z zachwytem i powiada:

— Ta sama powierzchnia, identyczna, ale cóż moje pudełko — przyczepić śmigł i będzie wiatrak.

Tak mówiąc, ma na myśli kontrasty architektoniczne pomiędzy cacuszką a seryjnym stereotypem. Ciekawi są ludzie wnętrza, gdzie przestronny hol, schodki na piętro, salon, łazienki kafelkowe, przestrzenne szaleństwo kuchni, z dziesięć pokoi, weranda, balkon, pralnia itd.

Dyrektor Józef Cap oprowadza ciekawych, pokazuje i objaśnia nie tylko bardzo ważnym delegacjom, ale czasem i pojedynczym gościom, że ten domek jest pierwszy, lecz podobnych mu, piętrowych, powstanie jeszcze dziewięć, a

nleco mniejszych, parterowych — pięć. Zaś całość kompleksu, wraz z budynkiem administracyjnym wyrośnie za dwa lata w ostateczny, realny kształt Wioski Dziecięcej w Biłgoraju.

Dyrektor zatrzymuje się obok fundamentów — tu Stanisława Gierkowa wmurowała kamień węgielny, obejmując osobisty patronat nad wioską — i mówi z dumą:

— Austriacy, kiedy zobaczyli tę budowę, powiedzieli, że pałace stawiamy dla dzieci. Zazdrościli.

Dokończenie na str. 4—5

DNI PIERWSZE

(V)

O literaturę dla milionów

Ireneusz J. Kamiński

PO „Moralności Pani Dulskiej” Teatr Miejski przygotowywał kolejną premierę: „Jeńców” Lucjana Rydla w reżyserii Ireny Ladosiówny. Nie obawiano się o frekwencję, mimo że w zaledwie 60 m od sceny stojącym budynku kina „Apollo” wyświetlano angielskiego „Złodzieja z Bagdadu” i takie atrakcyjne dokumenty, jak „Przysięgamy ziemi polskiej” W. Forberta, S. Wohla i L. Perskiego (film zrealizowany w 1943 r.), „Wojska sojusznicze lądują we Francji” (USA) i „Przemarsz 56 700 jeńców niemieckich przez ulice Moskwy” (radziecki).

I rzeczywiście, premiera z 29 sierpnia znów ścianała do teatru komplet widzów. A nieoceniony Janusz Minkiewicz ponownie spojrzął na dramat z

odległej przeszłości przez pryzmat współczesnych doświadczeń.

„Od Rydla dowiadujemy się — pisał w 30 nr. „Rzeczypospolitej” — że najważniejszą cechą rasy germańskiej jest jej niezmiennność. Skoro tacy sami jak dziś byli tysiąc lat temu, nie zmieniają się za lat pięć czy dwadzieścia. Toteż „Jeńcy” Rydla są argumentem że tylko całkowite zlikwidowanie tego przekłętą plemienia może dać rękojmię naszego dalszego bytu”.

Dzieło sceniczne przypomina, kontynuował, o polskości ziem między Odrą i Łabą, do których po-

Dokończenie na str. 4—5



Są Siedlce — pisze Maciej Podgórski. Str. 3

Fot. Zdzisław Dadoś

z notatnika

Marek Adam Jaworski

27-30 IX. Przez cztery dni przebywaliśmy z kolegami Eugeniuszem Mysłowskim, naczelnym „Sztandaru Ludu”, i Lesławem Gnotem, naczelnym „Kurier Lubelskiego”, za Bugiem na jakiejś gościnnej ziemi radzieckiej, uczestnicząc w świętach tamtejszych gazet — „Radiańskiej Wołny” w Lucku i „Zarii” w Brześciu. Polikarp Szafeta i Piotr Sućko, kierujący tymi dziennikami, dokładali wszelkich starań, aby maksymalnie uatrakcyjnić nam pobyt. Dzięki im za to!

Sekretarze komitetów obwodowych partii — Nina Lukiniczna w Lucku i Włodzimierz Wierchowicz w Brześciu podkreślali kilkakrotnie w swoich wystąpieniach jak wielką wagę przywiązują do rozwijania współpracy przygranicznej między ZSRR a Polską, w tym szczególnie — współpracy między gazetami. Atmosfera daleka była od oficjalności. Po prostu spotkali się przyjaciele, którzy mają sobie wzajemnie wiele do powiedzenia.

Dla mnie osobiście najbardziej cenne były pogawranki, toczące się nie tylko przy znakomitej wodzie mineralnej borzomi. Żałowałem, że czasu tak niewiele — ile tu by można spisać interesujących relacji osób, byłych żołnierzy Armii Radzieckiej, którzy w latach 1944-1945 brali czynny udział przy wyzwoleniu Polski!

W jednym z toastów (a jakże, byli!) przypominałem moją rozmowę w Mińsku z Maksymem Tankiem. Znakomity poeta opowiadał mi w 1966 roku, jak to przed wkroczeniem hitlerowców na Białoruś zakopał egzemplarze przedwojennej „Kamieny”, w której drukowano jego wiersze. Po wyzwoleniu Białorusi znalazł te numery, ma je w swojej bibliotece...

Szpecił mi miło było mi słyszeć w Brześciu wystąpienia przedstawicieli tamtejszych literatów (przepraszam, ale nazwisko gdzieś mi uleciało, czemu dziwić się nie należy...), który uwypuklił wkład mego Ojca w popularyzację literatury radzieckiej w Polsce, jego wszechstronną działalność przekładową.

W czasie pobytu w Lucku i Brześciu mieliśmy też możność poznać redaktorów innych gazet, ukazujących się na Radzieckiej Ukrainie i na Radzieckiej Białorusi. Zaprzyjaźniłem się z przeuroczym Włodzimierzem Łaźką z „Gomelskiej Prawdy” i Aleksandrem Boguszem z „Grodniejskiej Prawdy”, którzy przywiózł „Zarii” najdowcipniejszy podarek: rękawice dla... wielkoluda. Żeby dziennikarze lepiej mogli zwalczać wszelkie przeciwności!

Myślę, że nie było to nasze spotkanie pierwsze i ostatnie, zwłaszcza, że jest obopólna chęć zacieśniania kontaktów dziennikarskich.

No i na zakończenie nie mogę nie wspomnieć o znakomitej zupie stanowiącej swoistą mieszankę grzybowej i rosoli, jaką uraczono nas we Włodzimierzu Wołyńskim. Kucharz wyjawiał nam jej tajemnicę. Pycha!

1 X. W Lublinie — centralna inauguracja roku akademickiego 1979/80. Gospodarzem uroczystości jest UMCS, świętujący swoje 35-lecie. I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek, stwierdza w swym wystąpieniu: Nasza partia będzie nadal zacieśniać związki z inteligencją. Wyzwalać jej aktywność i inicjatywę. Skupiać ją wokół programu politycznego, gospodarczego i kulturalnego rozwoju socjalistycznej Polski, pełniej wykorzystywać jej wiedzę, kwalifikacje, walory intelektualne i moralne w służbie narodu.

Podkreślam słowa: wyzwalać jej aktywność i inicjatywę. Podkreślam po lekturze felietonu Władysława Machojki w 39 n-rze „Życia Literackiego”: Jesteśmy uwikłani — stwierdza autor — nie tylko w losy młodzieży studiującej, ale także w problem pożytków ze studiów. Praktycznej jakości. Dziś, jutro gazety otrąbią... porównywalne liczby. Mniej wię-

cej w tym sensie, że jesteśmy jedną z czołowych potęg w dziedzinie studiów, nauki i dyplomów. Ale po otwocach ich poznamy je... Jeśli owe cyfry nie ziszczą się w jakiejś tam proporcji do twórczej działalności [...] to owe triumfalne statystyki będą jałowe — porównywane do produkcji przemysłowej gęsto pomieszczonej z bublami. Oto wróciłem z Paryża i Francji. Zwiedzałem m. in. podstawowe zakłady chemiczno-atomowej potęgi Creuzot-Loire w Chalonsur-Saone. W tej wytwórni eksportowej wymagającej wysokiej specjalizacji na 1600 robotników jest zatrudnionych 70 inżynierów i 300 techników. W pewnej wytwórni pod Krakowem także mającej specjalistów, na 10 robotników przypada 1 inżynier. Bijemy coo? Równocześnie ta wytwórnia sprawdza technologię francuską. A więc szermowanie samymi cyframi, jako też ocenianie samego wkuwania na uczelni (i poza) na użytek dyplomu absolwenckiego są podważalne jako metoda mająca potwierdzać dojrzałość praktyczną z perspektywą twórczego rozwijania się. A więc trzeba dążyć do uczenia i uczenia aktywnego. Termometru na balkonie nie otulajmy gazetą, nie dopuszczajmy do „końskich okularów”.

Nie dodać nic ująć. Utytułowany facet przynosi do redakcji artykuł z błędami ortograficznymi. Pal licha, mogła je popęlić maszynistka (choć coraz trudniej taką znaleźć). Kiedy jednak człowiek zaczyna czytać ów artykuł, ręce opadają. Kto ci, chłopie, dał to magisterium? Przecież uczeń ósmej klasy napisalby chyba nie gorzej od ciebie! Studia to fajna rzecz. Ale poza tym trzeba coś mieć w głowie.

3 X. Na pewnym zebraniu słyszę, że jeden literat przypada mniej więcej na 25 000 obywateli naszego kraju. Chodzi o literata zorganizowanego, czyli z legitymacją Związku Literatów Polskich w kieszeni. Gdyby tak uwzględnić wszystkich piszących, a myśle tylko o tych piszących, którzy już drukowali gdzieś swoje prace, proporcja byłaby nieco mniejsza. Bo ja wiem — może jak 1 do 5000? Ale na sprawę warto spojrzeć również nieco inaczej, to znaczy wziąć pod uwagę jedynie pisarzy, twórców kultury narodowej przez duże „T”. Może wówczas stosunek wyrazi się jak 1 do 1 000 000. A spośród tych 35 000 na trwałe zagości na Parnasie? Przejrzyjmy, sięgając do historii literatury, nazwiska tych, którzy tworzyli przed wiekiem, którzy dla współczesnych byli gwiazdami nawet pierwszego wielkości. Minęło sto lat. Co zostało? Więcej popiołu niż diamentów...

Zalecałbym więc skromność, pokorę. Nadmuchiwanie bez miary balon pęka gwałtownie. I czasem śmierdzi wtedy tak, że trudno wytrzymać.

5 X. Wróciłem właśnie z uroczystego koncertu w naszej hali sportowo-widowskiej, zorganizowanego z okazji 35 rocznicy powstania Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Przemówień przewodniczącego WK FJN w Lublinie, wspaniałego człowieka, Pawła Dąbka i ministra Spraw Wewnętrznych, gen. dyw. Stanisława Kowalczyka, wysłuchali zebrani z wielką uwagą. Mówcy przypomnieli tamte tragiczne dni, kiedy to w zażartej walce ze zbrojnym podziemiem kształtowały się podstawy ludowej władzy.

Na Lubelszczyźnie — gdy piszę teraz te słowa sięgam do książki Ireneusza Cabana i Edwarda Machojki pt. „Za władzę ludu” (WL 1975) — poległo 755 funkcjonariuszy MO i 240 funkcjonariuszy UB. Liczby te nie obejmują ORMO-wołów. Ogółem w latach 1944-1953 poniosło śmierć, często skrytobójczą, 2 986 osób. 35,5 proc. wśród nich to rolnicy. Tragiczną listę otwiera 20-letni Władysław Gutowski, funkcjonariusz MO w Miętkiem (b. pow. hrubieszowski), szeregowiec, bezpartyjny, który zginął podczas napadu sotni UPA na wieś Dolhobyczów. A zamyka ją 41-letni Władysław Sobol, komentant posterunku MO w Krasnobrodzie

(b. pow. zamojski), starszy sierżant, członek PZPR, poległy w Wólce Hucińskiej w czasie likwidacji powinowskiej grupy rabunkowo-terrorystycznej. Pierwszy stracił życie w sierpniu 1944 roku. Ostatni — w listopadzie 1953 roku...

6 X. 30-lecie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Znam ten kraj, mogę powiedzieć, bardzo dobrze, mam tam przyjaciół, z którymi stale koresponduję, z którymi odwiedzamy się wzajemnie. Kiedy powstawała NRD, nie wróziła jej na Zachodzie długiego żywota. Rzeczywistość zadała klam tym pobożnym życzeniom. NRD utrzymuje dziś stosunki dyplomatyczne z ok. 128 krajami świata, jest aktywnym członkiem ONZ i wielu innych organizacji międzynarodowych. Na stałe wpisała się w mapę współczesnej Europy. Wchodzi w skład wspólnoty socjalistycznej, ma odpowiednie miejsce w istniejących układach sił.

Na uroczystości 30-lecia przybyły liczne delegacje zagraniczne, czołowi przywódcy państw socjalistycznych, wśród nich Edward Gierek i Leonid Breżniew. Dziś wieczorem telewizja poinformowała o nowych, doniosłych propozycjach radzieckich, mających na celu odprężenie w Europie. Mówił o nich właśnie w Berlinie Leonid Breżniew. ZSRR gotów jest zredukować liczebność środków nuklearnych średniego zasięgu w zachodnich rejonach swego kraju jeśli w Europie zachodniej nie zostaną dodatkowo rozmieszczone takie środki. Ponadto w uzgodnieniu z władzami NRD i innymi państwami socjalistycznymi Związek Radziecki zmniejszy w ciągu 12 miesięcy liczebność swych wojsk w NRD o 20 tysięcy żołnierzy, o tysiąc czołgów oraz o pewne ilości innego sprzętu wojskowego. Leonid Breżniew wezwał kraje NATO, by poszły za przykładem ZSRR. Cytuję z pamięci, gazety z przemówieniem radzieckiego przywódcy ukażą się dopiero pojutrze, nie znam też jeszcze teraz, gdy piszę te słowa, reakcji kół oficjalnych na Zachodzie. Wydaje mi się jednak, że nad propozycjami ZSRR trudno będzie przejść do porządku dziennego i po prostu je zlekceważyć.

A tak na marginesie. Bronisław Dostatni i Jerzy Surdykowski podali w ostatnim numerze „Odry” charakterystyczne fakty: w ciągu ostatnich 5500 lat, a więc od zarania naszej cywilizacji, toczyło się 14 000 wojen, w których zginęło 3640 mln. ludzi. Aby wyeliminować z walki jednego nieprzyjacielskiego żołnierza, Juliusz Cezar musiał zainwestować w siły zbrojne mniej więcej 75 dolarów, Napoleon Bonaparte — 3000. W czasie pierwszej wojny światowej USA wydawały na ten cel 21 000, w czasie zaś drugiej wojny światowej aż 200 000 dolarów. Wystarczy. Wszelkie komentarze zbędne. Ale komu jeszcze mało, to dodajmy, że pomiędzy rokiem 1945 a 1976 toczyło się na świecie 130 wojen, w które uwikłane było 70 państw. W tych „wojenkach” zginęło więcej ludzi niż padło żołnierzy na frontach drugiej wojny światowej.

7 X. Ukochane „Odgłosy” łódzki tygodnik społeczno-kulturalny, zamieszczają w 40 n-rze sprawozdanie z inauguracji roku kulturalnego. Dowiadujemy się z niego, że taki to a taki dyrektor wygłosił interesujące programowe expose. Mówca stwierdził m. in., że działania inspiracyjne i organizatorskie w dziedzinie kultury muszą cechować: selekcja, konkretność i skuteczność. Warunkiem zachowania skuteczności jest np. dobra informacja w społeczeństwie, stwarzająca odbiorcom kultury pełną możliwość wyboru... Słowa te wydały mi się tak odkrywcze, że nie mogę się powstrzymać, aby ich w tym miejscu nie zacytować. Dla współczesnych i dla potomności. Oczywiście sprawozdanie zawiera również spis osób uczestniczących w inauguracji. Protokół dyplomatyczny z miasta Łodzi świeci na lamach „Odgłosów” pełnym blaskiem.

CZARNA środa polskiego piłkarstwa! Cztery polskie drużyny — Ruch Chorzów, Arka Gdynia, Widzew Łódź i Stal Mielec odpadły z dalszej rywalizacji o Puchar Europy, Puchar Zdobywców Pucharów i Puchar UEFA. Jest tak źle, że już gorzej być nie może. Chociaż... przed naszą drużyną narodową batalia z Holandią, a przed drużyną olimpijską — z Czechosłowacją i Węgrami, więc jednak długa noc jeszcze przed nami. Jedynie pocieszenie, że nasz pogromcy — Beroe Stara Zagora, AGF Aarhus i St. Etienne trafili w kolejnej rundzie na trudnych przeciwników. Zwycięzca Arki zagra z Juventusem Turyn, zwycięzca Stali z Bayernem Monachium, a zwycięzca Widzewa — z PSV Eindhoven. Drużyn tych przedstawiać nie należy. Największe szczęście w losowaniu miało Dynamo Berlin, które zmierzy się z Servette Genewa.

Ryszard Koncewicz, trener kadry, wiceprezes PZPN do spraw szkolenia, nie traci jednak pogody ducha. W rozmowie z przedstawicielem „Trybuny Ludu” powiedział: „Utalentowanej młodzieży nie brakuje. W tej chwili w wielu klubach sytuacja wygląda tak, że starzy gracze są już po prostu „zmęczeni”, a młodzi muszą nabrać doświadczenia. Na to trzeba jednak poczekać. Proponuję zachować nieco optymizmu. A poza tym nie dobijajmy leżącego, lecz podajmy mu rękę. Tym leżącym jest właśnie klubowa piłka”.

Hmm... Z trudem wywalczony remis naszej czołowej jedenastki z boją, ale przecież nie niezwykłą, drużyną NRD świadczy, że źle jest nie tylko z naszą piłką klubową. Owszem wygraliśmy ze Szwajcarią, ale zawiązać to możemy przede wszystkim ogromnemu szczęściu i superogromnemu pechowi, który przesładował naszych przeciwników. A na samym szczęściu daleko się nie zajadzie.

Zostawmy jednak piłkę klubową na boku, po prostu ani pisać ani gadać się na ten temat nie chce. W chwili, gdy część czytelników będzie czytała te słowa, czyli w środę, a s i zmierzają się w Krakowie na stadionie Wisły z zespołem Islandii. Islandia niby nie liczy się na rynku, jeśli tak można powiedzieć, piłkarskim, ale... Po pierwsze ta drużyna nie ma nic do stracenia (i do zyskania) a po drugie ona właśnie zwyciężyła w poprzednich mistrzostwach Europy NRD w stosunku 1:3 (w Reykjavíku) i zastopowała naszych obecnych rywali. Gdyby teraz w Krakowie Islandia remisowała, moglibyśmy już ze spokojem oczekiwać zarówno meczu NRD—Holandia, jak i Holandia—Polska. Oczywiście byłby to spokój bardzo ponury.

Narodowa drużyna Islandii nie ma gwiazd. Ale piłkarze narodowości islandzkiej potrafia błyszczyć w zagranicznych klubach. Właśnie Islandczyk, Petur Petursson, jest w tej chwili — słuchajcie, słuchajcie, drodzy czytelnicy tej rubryki — liderem strzelców ligi... holenderskiej! Gdyby udało się tych wszystkich zawodników, którzy chwilowo wycmignęli z kraju, ściągnąć do narodowej drużyny i to nie w ostatniej chwili, gdyby wspólnie nieco potrenowali, wówczas Ryszard Koncewicz musiałby się zdejść na łaskę Niebios. No bo na polskich kibiców liczyć coraz trudniej. Stal Mielec odczuła to najwyraźniej podczas przesławnej o lania. Zresztą łaska kibiców na pstrym koniu ledwie. Gdy jest źle, bardziej gwiżdże się niż klaszcze się gdy jest dobrze.

Niżej podpisany raczej pogodził się już ze wszystkim najgorszym. Na mistrzostwach świata w Nieuwenhuysen i na olimpiadzie bez udziału polskich drużyn świat się nie skończy. A jeśli zdarzy się cud, będzie specjalna okazja dla jego hucznego uczczenia.

Napisało się przed chwilą „zostawmy jednak piłkę klubową na boku”, ale trzeba odnotować pierwszą porażkę Motoru ze Stalą Stalowa Wola. Na szczęście i Gwardia nie wygrała ze Starem Starachowicem, aczkolwiek i nie przegrała, zdobywając jeden punkt. Tym jednym punktem wyprzedza teraz Motor. Rywalizacja trwa i wszystko jeszcze może nastąpić. Jedno jest pewne: trzęsienia ziemi nie będzie. W żadnym wypadku.

GOL

JAKBY malarz wpiertw naszkicował ponura-
we, urzędniczo-rzemieślnicze miasteczko
Kongresówki, potem częściowo przemalo-
wywał je na coraz nowocześniejsze miasto
współczesne, ale dzieła nie ukończył. Takie są Siedl-
ce.

Podczas tzw. operacji lubelsko-brzeskiej wojsk ra-
dzieckich i Frontu Białoruskiego, dowodzonych
przez marszałka ZSRR, Konstantego Rokossowskie-
go 31 lipca 1944 roku miasto zostało oswobodzone,
ale dopiero w wyniku tygodniowych, ciężkich walk,
ponieważ Niemcy twardo usiłowali utrzymać Siedl-
ce jako ważny węzeł komunikacyjny. Miasto wy-
szło z tego zrujnowane, blisko połowa budynków
zburzona. Wycofujące się wojska niemieckie zosta-
wiały na ruinach napisy: Tu były Siedlce!

Od wyzwolenia więc w Siedlcach z konieczności
budowało się sporo i z upływem lat coraz więcej,
tak że z 24-tysięcznego miasta w 1944 roku, Siedlce
stały się obecnie miastem ponad 50-tysięcznym,
przy okazji zaś rewia wszystkich stylów naszego
budownictwa na przykład mieszkaniowego, od gzym-
sików wiadomego okresu, poprzez „oszczędnościow-
kę” lat sześćdziesiątych, aż po wielką płytę lat sie-
demdziesiątych.

Ostało się też nieco budownictwa z lat dawniej-
szych, szczególnie zeszłego wieku. I z lotu głównej
ulicy Świerczewskiego można się napatrzeć różności.
Tu budynek poczty z I połowy XIX wieku (dawna
austriacka, czyli karczmia); tam dawny odwach z koń-
ca XVIII wieku (obecnie biura WSS); ówde XIX-
wieczne, niewysokie, acz murowane budyneczki, zresz-
tą na zapleczu i drewniak się trafi; dalej zaraz po-
tężny wysokościowiec, budowany jeszcze od czasów
powiatowych, obecnie szczęśliwie kończony z prze-
znaczeniem na siedzibę urzędu wojewódzkiego; na-
stępnie zakład, w którym pobyt nie wiąże się abso-
lutnie z nagradzaniem obywateli, pobudowany w la-
tach 1841—1843 według projektu Marconiego i w
stylu klasycystycznym, wymieniany w przewodnikach
turystycznych choćby z tej racji, że przeby-
wał tutaj Feliks Dzierżyński (w latach 1901—1902).

Nad całością góruje potężna i strzelista katedra,
dwuwieżowa, z lat 1905—1913, neogotycka, o dosyć
mizernej wartości zabytkowej w rodzaju super-
gotyk poprawiany. Dalej zaś mająca wielkopłyto-
we wysokościowce udanego, choć standardowego ra-
czej, osiedla 1000-lecia. Gdyby zaś komu chciało się
to osiedle obejrzyć zobaczy po jednej stronie uli-
cy Marchlewskiego rozwijający się ciąg nowoczes-
nych bloków, po drugiej natomiast rolnictwo mia-
sta Siedlce, czy może badylarstwo, chałupki w każ-
dym razie podlaskie z charakterystycznymi okien-
nicami.

Ja nie twierdzę, że z tym wszystkim są Siedlce
jakimś zupełnym i złośliwym ewenementem w ska-
li kraju czy choćby tylko makroregionu środkowo-
wschodniego. Po prostu piszę, jakie Siedlce są, nie
wdając się w porównania.

Jeżeli Siedlce są w czymkolwiek ewenementem,
to w materii uprzemysłowienia byłego powiatowego
miasta, leżącego niedaleko od aglomeracji warszaw-
skiej, która rzekomo wysysała wszelkie soki inwe-

ra-Błonie”, Wytwórnia Lekkich Konstrukcji Stalo-
wych „Mostostal”, Odlewnia Staliwa „Stalchemak”,
Zakład Produkcji Podzespołów Fabryki Samocho-
dów Osobowych, Fabryka Narzędzi Skrawających
„Vis”. A ponadto Kombinat Budownictwa Przemys-
łowego „Podlasie”, Zakład Produkcji Sprężyn Pod-
laskiej Spółdzielni Inwalidów, Siedlecka Fabryka
Domów...

Nie żadne drobne zakładziki, lecz firmy dające
produkcję roczną po kilkaset milionów złotych każ-
da.

Tak się ponadto złożyło iż starsze fabryki siedlec-
kie, powstałe na przełomie lat pięćdziesiątych i
sześćdziesiątych, też są zlokalizowane poza miastem,
z drugiej strony, za dzielnicą 1000-lecia. Myślę głów-
nie o dwu: Siedleckich Zakładach Drobiarskich, któ-
rych prosperity zachęca obywateli miasta do sta-
wiania własnych kurników przemysłowych; Zakła-

W MAKROREGIONIE Są Siedlce

Maciej Podgórski

dach Przemysłu Dzierżawskiego „Karo”, wytwarza-
jących modne obecnie wyroby z bawełny, w tym na-
wet kałesony „trzy-czwarte”, sposobne dla starszych
panów (bo od góry grzeje, a od skarpetek można
udawać, że jest się po sportowemu).

Kalesony kałesonami, a ZPD „Karo” są dla Sied-
lec zakładem wielce zasłużonym, zdjął bowiem
swego czasu z rynku pracy nadmiar kobiecych rąk
i odtąd ten problem przestał w mieście istnieć (a na-
wet powstał odwrotny), przy czym jeśli idzie o za-
trudnienie, to „Karo” jest w Siedlcach zakładem
największym, zaś wartością produkcji jednym z naj-
większych.

W tej chwili się nieorientuję, czy taki rozwój
przemysłowy samych Siedlec, które jako woje-
wództwo są głównie regionem rolniczym, i to o dość
niskiej kulturze rolnej oraz nienajlepszych glebach,
a więc czy taki rozwój powinien cieszyć lub mart-
wić. W każdym razie fakt sam w sobie wydaje się
raczej niebywały. W 1955 roku wartość produkcji
przemysłowej Siedlec wynosiła 80 milionów złotych,
w 1960 — 382,7 miliona, zaś, w 1978 — 5,9 miliarda
złotych!

Z potęgi przemysłowej swego miasta zdaje sobie
sprawę każde dziecko w Siedlcach, nie jestem na-

ministracyjnego oznakowania posesji, niechże po-
wie „B” w sprawie właściwego oznakowania za-
bytków. Ponadto trzeba by jeszcze powiedzieć wy-
sokość „C” w sprawie elewacji, których stan nawet
w nowszych budynkach jest denny.

Przed wszystkim zaś wykłwita kwestia hotelu
miejskiego, o którym zapomnieli powiatowe Siedl-
ce, zapatrzone w swą przemysłową świetność, a ta-
ki na przykład powiatowy Zamość nie zapomniał i
ma „Renesans”, godny polecenia każdemu. Więc
może wojewódzkie Siedlce przypomnieli sobie o
hotelu miejskim? Też nie, a taki na przykład wo-
jewództwa Chełm przypomnieli sobie i wreszcie skoń-
czyli „Kamień”, którą też bym polecił każdemu, ale
nie dlatego, że nazywa się tak samo jak firma,
gdzie pracuje.

Z hotelem miejskim w Siedlcach jest podobna sy-
tuacja jak w Białej Podlaskiej — niby istnieje, ale
faktycznie go nie ma, bo w tym lokalu nic mądrego
nie da się zrobić. A przecież start Siedlec w woje-
wódzką przyszłość był kilkakrotnie lepszy niż Bia-
lej Podlaskiej.

Hotel miejski w Siedlcach ma charakter kombina-
tu gastronomiczno-noclegowego. Sam obiekt jest ru-
derą, z której wyciśnięto już wszystko, żeby ją do
„czegoś” upodobnić; choć panie recepcjonistki po-
siadają tam ambicje europejskie, wypisując sobie
ściągawki w języku angielskim prawdopodobnie:
plis, sęk ju, wery gut — rudera pozostanie rudera.

Obok obiektu znajduje się ogrodzona parkanem
piwiarnia-mordownia na świeżym powietrzu. Na
parterze obiektu znajduje się knajpa-mordownia
samoobsługowa, dom dalej — restauracja dosyć
przyswoita. Nocą pod knajpę-mordownię ściągają
niedopici obywatele, którzy błagają niejaką panią
Zosię, żeby ich jeszcze wpuściła, choć lokal niezwy-
ny, lub przynajmniej pół litra przez okno podała.
Pani Zosia, jak to kobieta, jednemu ją, drugiemu
odmówi, czasem zupełnie nie wiadomo dlaczego.
Stróż, też nie wie, czemu, o pierwszej w nocy
wyprowadził potłuczone butelki z piwiarni-mordowni.
W ciągu mego czterodobowego pobytu w tym „ho-
telu” tylko dwa razy nocą pod oknami pobila się
tubylcza kawalerka.

Jeśli z gastronomią Siedlce nie stoją tak źle (dwie
porządne restauracje), to z sakramentalną bazą
noclegową (otwartą) nie stoją w ogóle. Słyszę o
montażu „pod olimpiadę” zajazdu nad pobliskim
zalewem (60 miejsc noclegowych i 120 konsumpcyj-
nych). Bardzo pięknie, ale zajazd nie zastąpi hotelu
miejskiego, a ponadto idzie o zaszkolony, dziś może
trudniejszy do odrobienia niż poprzednio.

Po wojnie powiat siedlecki należał do wojewódz-
twa lubelskiego i podobno wyplakal sobie „przenie-
sienie” do województwa warszawskiego, co też i się
stało z dniem 1 stycznia 1949 roku. W dziele zbioro-
wym pod tytułem „Powiat siedlecki”, wydanym w
Siedlcach w 1935 roku, przeczytałem na stronie 80:
„mieszkańcy powiatu siedleckiego mają znacznie
lepsze połączenia kolejowe z Warszawą niż z Lu-
blinem, muszą jednak sprawy wojewódzkie załat-
wiać w Lublinie”.

Widać już przed wojną nurtowały powiat ambicje
„przeniesienia” się z lubelskiego w warszawskie. Są
to stare dzieje — pomyślałem sobie, ale na wszelki
wypadek pobiegłem na dworce siedleckie spraw-
dzić połączenia aktualne. I oto PKP — 32:2 na ko-
rzyć Warszawę, a ze sromotną klęską Lublina;
PKS analogicznie — 19:1.

Jest taka sprawa, że województwo siedleckie na-
leży do makroregionu środkowo-wschodniego, które-
go centrum stanowi aglomeracja lubelska i Siedlce
w pewnym sensie otrzymały teraz „przeniesienie” do
Lublina. Kiedy zaczynam myśleć o tej sytuacji, wil-
klam się w rozmaite sprzeczności, które tutaj chciał-
bym jedynie zasygnalizować, nie interpretując ra-
czej.

Istnieją rozmaite powiązania i ciężenia. Siedlce od
niedawna przekształcają swą wyższą uczelnię z
Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Wyższą Szkołę
Rolniczo-Pedagogiczną, czyli jakby szykują uczel-
nię dla potrzeb podniesienia stanu rolnictwa, po-
dobnego zresztą do rolnictwa sąsiednich terenów
wojewódzkiego makroregionu. Z drugiej strony —
same uprzemysłowione Siedlce mają powiązania,
przemysłowe właśnie, z aglomeracją warszawską,
nie mówiąc już o powiązaniach komunikacyjnych.
Podobnych powikłań dałoby się wymienić więcej,
choćby w kwestii obsługi prasowej.

W Zespole Planowania Regionalnego w Lublinie,
gdzie powstało studium planu perspektywicznego
makroregionu środkowo-wschodniego, silna grupa
dyrektorów i naczelników tłumaczy mi cierpliwie
jak dziecku, że zgłaszam pozorne wątpliwości. Po-
jęcie makroregionu jest w tej chwili, i jeszcze dłu-
go będzie, rozumiane jako przede wszystkim jed-
nostka studialno-planistyczna, ściśle korelowana z
planowaniem ogólnokrajowym, jednostka otwarta
zresztą na koncepcje międzymakroregionalne, elasto-
yczna.

Czy kiedykolwiek pojęcie makroregionu będzie o-
znaczało funkcjonalną całość na przykład ekono-
miczną, trudno dziś powiedzieć, a nawet gdyby kie-
dykolwiek miało oznaczać, to w założeniu będzie
całością otwartą właśnie i elastyczną. I tak dalej, i
tym podobne. Przyznam, że z ulgą dałem się prze-
konać, choć do pewnych konkretnych postanowień
wrócić w najbliższej przyszłości mojej dziennikar-
skiej, jak choćby do ponadwojewódzkiej funkcji Lu-
blina w zakresie szkolnictwa wyższego, lecznictwa
specjalistycznego, usług wyższego rzędu...



Fot. Zdzisław Dadoś

stycyjne z podległych jej powiatów. Może nawet i
wysysała, ale Siedlce akurat tego nie potwierdzają
i znam ludzi, którzy ten przypadek tłumaczą kon-
cepcją deglomeracji aglomeracji, przemysłowej de-
glomeracji wielkoprzemysłowej aglomeracji. Racja,
prastracja, demokracja — zawsze jakieś wytłuma-
czenie można dopasować. A czy tu przypadkiem nie
chodzi o to, że znalazła się grupa mądrych i bywa-
łych ludzi, którzy potrafili coś mądrego wymyślić o-
raz przeforsować?

W każdym razie słyszę, iż przymiarki lokalizacyj-
ne budowanej od 1971 roku Południowej Dzielnicy
Przemysłowo-Składowej w Siedlcach wykonywał z
helikoptera sam profesor Hryniewiecki. I powstała
dzielnica przemysłowa, rozsądnie zlokalizowana po-
za miastem, z zachowaniem strefy ochronnej z po-
mysłem na wspólną energetykę, wspólne urządze-
nia przeładunkowe.

Obecnie funkcjonują tam bądź kończą się budo-
wać filie tak znamienitych firm, że trzeba je aż
wymienić: Zakłady Mechaniczno-Precyzyjne „Me-

tomiast pewny czy wszyscy kompetentni zdają
sobie sprawę, jakie płyną konsekwencje z faktu, iż
Siedlce leżą przy trasie międzynarodowej E-8,
która pobiegnie ruch tranzytowy na najbliższą
olimpiadę i którą od dawna biegnie międzyro-
dowy ruch turystyczny.

Siedlce są po prostu bardzo brudne, niestety.
Śmieciaczek na ulicach bardzo mało, niestety. I
widać nie ma komu sprzątać, niestety. Stan elewa-
cji najbardziej zabytkowych zabytków gwałtownie
wola o remont. Myślę o ratuszu, „Jackiem” zwa-
nym, pałacu i kaplicy Ogińskich, trzech czołowych
zabytkach miasta. Te oraz inne obiekty zabytkowe
nie posiadają tabliczek informacyjnych. Można by
spytać, a które w Polsce zabytki posiadają tablicz-
ki? Ale w stosunku do Siedlec jest to pytanie akur-
rat jak najbardziej na miejscu, albowiem rzadko kie-
dy widzi się miasta, które miałyby tak duże, wy-
raźne i czytelne tabliczki z numeracją domów i za-
znaczonymi jednocześnie nazwami ulic. Jeśli ktoś
rozsądny potrafił powiedzieć „A” w sprawie ad-

KAWĘ NA ŁAWĘ

KIEDY na rynek wprowadzano malucha-650, w telewizji można było usłyszeć, jaka to nastąpi poprawa „osiągów” samochodu w porównaniu z maluchem-600 — lepsze przyspieszenia, mniejsze zużycie benzyny. Ostatnio, w związku z pilną koniecznością oszczędzania paliw w PRL, telewizja głosi prawdę, iż maluchy-650 zużywają więcej paliwa niż maluchy-600, a „osiągów” wcale to nie poprawia w sposób odczuwalny i że to jest niedobrze. Z pewnością, tylko telewizja powinna jeszcze dopowiedzieć, o co w takim razie chodziło, gdy wprowadzano na rynek malucha-650 i czy teraz ktoś z tego został rozliczony.

Produkowane w ostatnich latach fiaty 125p spalają znacznie więcej oleju silnikowego niż fiaty 125p produkowane dawniej. W związku z tym producent onegdaj zmienił dopuszczalną normę zużycia oleju na większą i uznał, że tak powinno być, wszystko w porządku, choć wiadomo, że silnik spalający więcej oleju to silnik gorzej „spasowany” czyli niższej jakości, ale wówczas telewizja przeciw temu nie protestowała. Obecnie słychać w telewizji białolenia, że jest źle, bo silniki fiata 125p spalają nadmierne ilości oleju, a przecież chodzi nam o oszczędność ropy. Ale znowu czegoś obłudnie nie dopowiedziano.

Pewne jest w każdym razie jedno — że silniki fiatów 125p, produkowanych ostatnimi laty, są gorsze niż w przypadku dawniejszych roczników, zaś maluch-650 taka sama dupa wołowa na trasie jak maluch-600.

PGD

Dokończenie ze str. 1

A Austriacy to bardzo ważni goście, bo w Wiedniu znajduje się siedziba sztabu organizacji SOS Kinderdorf, zrzeszającej kraje, które budują wioski — jest takich obiektów w świecie sto trzydzieści. Bilgorajski będzie pierwszy w Polsce i dzięki niemu nasz kraj został przyjęty do organizacji.

Wioska nazywa się dziecięca, bo zamieszka tu około setka dzieci. Zależnie od wielkości domku — po sześcioro lub po dziewięć. Wraz z dwójkiem dorosłych osób stanowią rodzinę. Ale to nie będą dzieci, które się w tej rodzinie urodziły. Większość z nich zachowa swe własne nazwiska. Własne, bo jak inaczej powiedzieć? Po ojcu? Po matce? Dla wielu z nich nazwisko pozostanie jedynym śladem spoza prawdziwej rodziny. Prawdziwej, czyli tej z wioski.

Wychowania dzieci podejmują się obcy dla nich ludzie. Obcy — tak jeszcze teraz można powiedzieć, ale nie zaryzykowałbym tego słowa już za trzy, cztery lata; nawet dziś jest ono nieostrożne, bo istnieje w kraju 70 rodzinnych domów dziecka, podobnych do minispoleczeń, mających zamieszkać w Bilgoraju. Dyrektor wioski rzadko używa słowa „eksperyment” i jedynie w kontekście wykorzystywania doświadczeń z istniejących rodzinnych domów dziecka. „Eksperyment” jest niedobrym słowem, gdyż od pracy w wiosce nie będzie odwrotu. Ludzie, którzy podejmują się wychowania dzieci, muszą zapamiętać, że mogą powiedzieć: „Znudziło mnie to, zmęczyło nie opłaca mi się”. I nie z powodu zasad organizacyjnych, administracyjnych ustaleń, przepisów itp., ale dlatego, że nie będą obcy dla swych dzieci. Od pierwszego dnia, po ostatni wspólnego życia w rodzinie.

Do Kuratorium Oświaty i Wychowania w Zamościu napłynęło już około czterdziestu zgłoszeń od ludzi z całego kraju, chcących podjąć się pracy w wiosce. Dyrektor Józef Cap mówi:

— Trudnej pracy, ale zaszczytnej. Zgłoszenia nadeszły od małżeństw i samotnych kobiet, mających własne dzieci lub bezdzietnych. Chcą pracować w Bilgoraju. W każdej rodzinie będzie troje osób dorosłych lub dwie kobiety. Nie wiadomo, jak ci ludzie będą odpowiadać, zagadnięci o zawód ale jeśli jedna z kobiet odpowie:

— Zawód? Jestem matką.

Mężczyzna powie:

— Ojciec.

A druga z kobiet oznajmi:

— Ciocia.

to na pewno nie będzie w tym ani cienia pomyłki. Takí będzie ich zawód: rodzice.

Zawód który normalnie zawodem nie jest, chociaż jest ciężką harówką, nie zawsze przynosząca myśli o pracy trudnej, ale zaszczytnej.

W życiu dzieci zostają sierotami z powodu wypadku, czy choroby rodziców

albo z powodu ich „odwrotu” od rodzicielstwa tu, w wiosce odwrotów od wybranego zawodu nie będzie.

— Nie wyobrażamy sobie, że coś takiego może się zdarzyć — mówi dyrektor. — Byłoby to ogromne niepowodzenie. Rozbicie jedynego wspólnego domu dla takiej rodziny.

Dyrektor godzi się, by napisać, co mówi o sposobach przyjmowania zgłoszeń — to mogą być bolesne słowa ale trzeba je wypowiedzieć:

— Rodziny, pojedyncze osoby, które do nas piszą, deklarują się z miłością do dzieci, twierdzą, że są gotowe poświęcić się dla wychowania sierocnych dzieci, że chcą im zastąpić prawdziwych rodziców, ale pod płaszczykiem pięknych słów może kryć się co innego

przyglądać kandydatom do wioski i poznać ich.

Trzeba, żeby matka miała serdeczne podejście do dziecka żeby rodzice okazywali mu ciepło i miłość. No jak, jak tę rodzinę po miesiącu, po kilku miesiącach rozwiązać? Wie pan co? Tutaj protekcje w ogóle nie wchodzi w grę.

— A jak będziecie mierzyć tę ich „ilość serca” posiadaną dla dzieci? Jak to można sprawdzić wcześniej?

— Ja też się nad tym zastanawiam — mówi dyrektor J. Cap — Komisja kwalifikacyjna składać się będzie z wielu specjalistów, np. pedagogów, psychologów. Nie potrafimy jeszcze stworzyć nawet założeń organizacyjnych wioski, ostatecznych, końcowych ale co do ro-

Zawód: — rodzice

— chęć otrzymania mieszkania w ślicznej willi lub dodatkowych zarobków. A nasz cel jest zupełnie inny. Spotkałem już rodziców z rodzinnymi domów dziecka i wiem, że są to w ogromnej większości wspaniali ludzie. Trudno powiedzieć — wybrani. Oni sami siebie wybrali. Niektórzy myśleli, przynajmniej do tego, że może osiągnąć dodatkowe korzyści materialne. Już tak nie myślą. Zresztą nakłady finansowe na te rodziny są przeciętne. Jedynie, co można naprawdę zyskać, to stworzenie dzieciom domu rodzinnego; czegoś znacznie więcej niż mogą dać domy dziecka; czegoś, co nazywa się ciepłem rodzinnym. Będziemy się bardzo, bardzo dokładnie

dzieciom wiemy, że muszą to być ludzie bez konfliktów wewnętrznych, bez nałogów, potrafiący wczuć się w rolę ojca i matki, nawet jeśli nie mają, nie mogą mieć własnych dzieci. Ale nie wolno im preferować własnych dzieci, jeśli będą je mieć. Muszą na równi traktować wszystkie, oddać się im całym sercem. Po prostu poświęcić się sprawie. Jest jakimś miernikiem fakt wcześniejszej adopcji dziecka i jego dobrego wychowania. Mamy wiele zgłoszeń od takich ludzi.

Dyrektor wspomina też o innej drażliwej sprawie ale cóż mówić — drażliwej po prostu smutnej:



Patronat nad dziecięcą wioską bilgorajską objęła Stanisława Gierkowa

O literaturę dla milionów

Dokończenie ze str. 1

wrócimy po zakończeniu wojny. Mistrz dwuwiersza zwrócił też uwagę na specjalną nośność i stylizację wierszy z tyrady Slepca — lirnika, które mogłyby być i dziś użyte w charakterze sloganów propagandowych. Czyżby więc z Rydlowego ducha wywodziły się takie hasła „Rzeczypospolitej”, jak: „Wszyscy z Be-Cha, z AL-u, z AK/ Idą zgodnie na Prusaka?”

Archaizowany język sztuki, ton patetyczny wypowiedzianych kwestii i jakby jasełkowe rekwizyty nie zamieniły przedstawienia w operę — buffo, a to dzięki dobrej grze aktorów. Niestety, recenzent nie wspomina, jak prezentował się na scenie Zygmunt Kalużyński: artysta teatralny, a niewiele później — niezwykle wydajny publicysta tygodnika „Wiś”, nie ustępujący pod tym względem Janowi Aleksandrowi Królowi, naczelnemu pisma.

Widownia. Otóż widownia jakby miejscami nie stanęła na wysokości zadania. „W akcie pierwszym, kiedy na scenie okrutna Niemka znęcała się nad swymi słowiańskimi niewolnicami, nad widownią znęcał się jakiś pan, który co chwila wnosił do loży rozkrzyżowanego bachora. W akcie trzecim, kiedy sgrzybiały ślepiec musiał tek-

turową lirą nieszczęsna branke, zabijając ją na miejscu, kiedy w tym dramatycznym momencie na całej widowni zapanowała śmiertelna cisza, jakiś młodociany głos z balkonu krzyknął: „Dzadziu! Widziałeś?... I w jednej chwili atmosfera grozy przerodziła się w huraganowy wybuch śmiechu...”

No tak, duma Minkiewicz, okupacja odsunęła ludzi od teatru i teraz nie wiedzą, jak się zachować w kulturalnym przybytku. Może by więc wywieść w kulturalnych drukowanych przepisach bon-tonu, może w krótkich pogadankach przed spektaklem wyjaśnić publiczności „różnice między teatrem a stacją”?

Sugestie autora „N” „świętego” (1939 r.), nie pozostawiają wątpliwości. Przed listopadową premierą „Wesela” pewna osobliwość wyluszczyła publiczności, co należy, a czego nie wolno czynić w teatrze.

„Jeńców” wystawiono w stosownym momencie: trzy dni przed rocznicą napaści Niemiec na Polskę. 1 września 1944 roku okazał się więc datą ważną również w dziejach naszej powojennej kultury. Po licznych wiecach i akademiach rocznicowych, które po raz pierwszy od wielu lat obchodzono w atmosferze zwycięskiej radości, przedstawiciele KRN i PKWN odbyli rozmowy z delegacjami: ukraińską i białoruską, podczas których omawiano kwestie obustronnej repatriacji ludności na terenach wschodnich, ale także sprawę rewindykacji polskich dóbr kulturalnych: m.in. „Panoramy ra-

clawickiej”, zbiorów „Ossolineum” i archiwów. W tym dniu rozpoczęła też naukę młodzież szkół podstawowych oraz dzieci gimnazjów i liceów Lublina. Nowy rok szkolny zainaugurowano zresztą we wszystkich wyzwoleńskich województwach: ogółem podjęło naukę milion dzieci i młodzieży. Jakże silna musiała być wiara demokratycznej władzy w ostateczne zwycięstwo nad Rzeszą, jeśli kilkadziesiąt, a nawet kilkanaście kilometrów od linii frontu, zdecydowano się na otwarcie szkół.

Na tym nie koniec rejestru spraw ważnych, albowiem 1 września rozpoczął swoje oficjalne istnienie Związek Zawodowy Literatów Polskich. Zebranie organizacyjne odbyło się w pałacu przy ul. Radziwiłłowskiej, a słowo wstępne należało — naturalnie — do Wincentego Rzymowskiego.

— Nasze pokolenie — mówił minister — musi sprostać ogromnym zadaniom, jak sprostał swym zadaniom pisarze Odrodzenia, poeta Romantyzmu. Teraz powołujemy myśl, aby literatura służyła nie 10 tysiącom wybranych, ale całej 30-milionowej społeczności narodowej. Zadaniem pisarza i artysty jest stanąć na wysokości momentu dziejowego, ukazać nową rzeczywistość, która przekracza granice pospolitego ujęcia.

Następnie, w imieniu ambasady radzieckiej, powitał zebranych prof. M. Grigoriew, wznosząc na koniec okrzyk: „Jeszcze Polska nie zginęła!”

Po wystąpieniu przedstawicieli armii zabrał głos Leon Pokora. Trudno ustalić, czy właśnie jego miał na myśli Putrament, wspominający po latach jakiegoś poeie chłopięcego, specjalnie sprowadzonego na zebranie przez resortowy wydział literatury. Ono, zdaniem autora „Majówliwych”, „kropnął najdziwniejszą perorę, jaka w życiu słyszałem. Nikt z zebranych nie tylko że nie zrozumiał ani słowa, ale nawet nie potrafił ogólnikowo określić intencji przemawiającego. Wysłuchano go w grobowym milczeniu i tym hojnie wynagradzono klaskami, gdy wreszcie skończył”. Wiele może jednak nie chodziło o Pokora, który dał do zrozumienia, że w demokratycznej Polsce widzi nareszcie szansę na powstanie kultury chłopięcej, ludowej, eksponującej talenty tkwiące w masach narodu...

Z kolei kilku poetów zrelacjonowało działalność literacką podczas okupacji, a Putrament — już po przerwie w obradach — wygłosił odczyt o zadaniach literatury w przyszłej Polsce.



Fot. Jacek Mirosław

— Większość ludzi, nie tylko pedagogów jest zdania, że tradycyjne domy dziecka z reguły nie spełniają swych zadań. Z tych względów nie mają one przyszłości. Będziemy się starali przyjmować sieroty z domów dziecka, ale bardziej czekamy na te przetrzymywane w pogotowiskach opiekuńczych, nie mające styczności z tamtymi instytucjami.

Dyrektor zastrzega się, że to ostatnie zdanie nie godzi w wychowanków domów dziecka lecz w strukturę owych placówek, w trudności, z jakimi się borykają, w braku wychowawców, opiekunów, w niedostatki bazy itp.

— Przyszłość mają rodzinne domy dziecka — podkreśla.

W Bilgoraju życie piętnastu rodzin urządza się wygodnie. Wszystko, co powstaje na 3,5-hektarowym placu obok osiedla Różanówka, ma odsunąć kłopoty życiowe, by sprowadzić je niemal wyłącznie do problemów wychowawczych. Na miejscu będzie sklep spożywczy (ważne, bo rodziny obowiązują tzw. własny garnuszek), świetlica dla młodzieży, sala do różnorodnych zajęć kulturalnych i oświatowych, boiska, gabinety lekarskie, pralnia ogólna, magiel, własna kotłownia, nawet stacja transformatorowa. Ciocie — urzędowo nazywają się na razie „pomocę domowe”, ale dzieci na pewno pozostaną przy „rodzinnej” nazwie — będą mieszkać w osobnych piętnastu M-1. Wokół domków i na podwórkach architekt Jacek Grubieli twórca projektu wioski, wyznaczył alejki, piaskownice, zieleni — cudeńka. I żadnych płotów, bram, og-

rodzeń, tylko pas zieleni, odgradzający od szosy, ale nie od reszty miasta.

— A obok, proszę spojrzeć, ktoś buduje dużą szklarnię, będziemy mieli świeże warzywa. Sprytnie, a dla nas wielka korzyść — uśmiecha się dyrektor.

Urbanistycznie wioska wtopiona jest w organizm miejski Bilgoraja, choć nie w centrum to jednak z dala od zakładów przemysłowych. Miasteczko nie jest wielkie, 21 tysięcy mieszkańców a zainteresowanie wioską duże.

— Jak każda nowa inwestycja — mówi naczelnik Urzędu Miasta, Walerian Bugala — Ale to nie tylko zwykła ciekawość, bo czwarta część funduszy wioski pochodzi od mieszkańców i zakładów pracy Bilgoraja. Poza tym włożono wiele czynów społecznych są deklaracje dalszej pomocy np. w wyposażeniu domków. Dzieci z wioski uczęszczać będą do naszych szkół i przedszkoli ojcowie tych rodzin podejmą pracę na terenie miasta.

To, o czym mówi naczelnik, znajduje potwierdzenie w faktach i liczbach lecz wioska stanowić będzie przez pewien czas, gdy już rozpocznie się w niej codzienne życie, odmienność od stałych struktur społecznych miasta. Odbije się to wzmogoną ciekawością, obserwacją, komentarzami na temat dzieci i rodziców. Czy nie istnieje groźba przesadnego „zainteresowania”? Wyraźnych, choćby na początku granic pomiędzy środowiskiem Bilgoraja i wioski? Trudny to problem, zwłaszcza w przypadku dzieci.

— Jestem pewien — odpowiada na te wątpliwości naczelnik W. Bugala — że młodzież z wioski zostanie zaakceptowana przez młodzież bilgorajską. Gdyby nawet były różnice u początków, szybko się zatrą. Dzieci będą w różnych szkołach i integracja nastąpi prawie od razu, zwłaszcza, że wioska nie będzie zamkniętą enklawą — młodzieży z miasta udostępnione zostaną obiekty kulturalne i sportowe wioski, a dzieciom z wioski wszystko, co jest dla nich w Bilgoraju. Nie wykluczone, że początki będą trudne, lecz mam odczucie, że krótko. Wioskę będzie widać jako odrębny zespół budynków, ale młodzież „rozplynie” się w środowisku.

— Możliwe, że dzieci szybko znajdą wspólny język, ale przecież Bilgoraj jest mały, będzie istniało coś w rodzaju presji społecznej — podglądanie, plotkowanie...

— Rozpoczęcie działalności wioski — mówi na to naczelnik Urzędu Miasta — nie będzie, jak wybuch wulkanu. Nie rozpocznie się od jakiejś jednej daty. Nastąpi sukcesywnie. A najważniejsze: mnie się wydaje, że wioska już dziś funkcjonuje w świadomości mieszkańców. Jeden budynek jest gotowy, są robione przygotowania do stworzenia całej kadry administracyjnej, powołany jest komitet do spraw wioski. Czyli społeczeństwo nasze już zaakceptowało fakt że w najbliższym czasie zjawia się jej mieszkańcy.

Naczelnik wspomina, że były wcześniej, już od 1974 roku, dyskusje, były spotkania z mieszkańcami miasta. Nie ukrywa faktu, że przy wywłaszczeniach terenu pod wioskę pojawiły się komplikacje, spory, pretensje, ale ludzie sami zrozumieli, co oznacza wioska dziecięca. Mówiono, że na tym terenie mogłoby mieszkać nie piętnaście rodzin, ale dwieście, gdyby budować bloki. Później jednak wszyscy docenili znaczenie obiektu i jego nadzwyczajny charakter.

— Ale przy tym wszystkim — dodaje naczelnik — nie będziemy robili żadnych wyjątków dla dzieci, czy rodziców z wioski. Będą to tacy sami mieszkańcy Bilgoraja, jak wszyscy. Natomiast nasze społeczeństwo rozumie, że trzeba cenić i szanować tych rodziców, którzy zdecydowali się wychować dzieci w wio-

sce. To jest o wiele trudniejsza praca niż nauczyciela, wychowawcy lub opiekuna. Ich praca nie będzie się kończyła po ośmiu godzinach, będzie trwać bez przerw, aż do emerytury, ciągle z wieloma dziećmi.

Czasem rozmawiamy o tym z żoną — mówi naczelnik Bugala — oboje jesteśmy z wykształcenia pedagogami i najważniejsze wydaje się nam że to dzieci oceniają swoje życie i jak zostały przygotowane do znalezienia w nim własnego miejsca. Ci rodzice to wcale nie muszą być osoby bardzo wykształcone, lecz bardzo wielkiego serca. Ja, przyznam, osobiście bałbym się wziąć taką gromadkę, bo może nie dałbym im tego, czego te dzieciaki oczekują.

Bronisław Kowalski



Fot. Jacek Mirosław

Przed wojną — stwierdził kapitan — społeczeństwo lekceważyło ludzi pióra, więc w rezultacie poeci tworzyli sobie a muzom nie znajdując odbiorców wśród robotników i chłopów. Zresztą nie sami pisarze, ale i muzycy oraz malarze oderwali się od społeczeństwa, uznając je po prostu za głupie. Obecnie trzeba zmienić tę sytuację. Owszem, powstanie zapewne wiele kierunków literackich odmiennych formalnie, ale wszystkie one powinny wyrosnąć na bazie życia społecznego co jest tym bardziej możliwe, że wojna przerodziła pisarzy. W tej chwili muszą oni podjąć walkę o przywrócenie narodowi jego międzywojennej pozycji wśród innych nacji. Zadaniem numer jeden jest budowanie jedności narodu na bazie wojska, które jest gwarancją naszej wolności. Resort Kultury i Sztuki — Putrament zwrócił się na koniec do Rzymowskiego — winien wspomagać literatów stypendiami i innymi funduszami, nie narzucając jednak pisarzom określonych tematów i nie faworyzując pewnych kierunków.

Po dyskusji wybrano Tymczasowy Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich w następującym składzie: Mieczysław Jastrun, Kazimierz Andrzej Jaworski, Jerzy Pleśnarowicz, Jerzy Putrament, Julian Przybos, Józef Wasowski, Adam Ważyk. Dwa dni później zarząd ukonstytuował się, prezesurę powierzając Julianowi Przybosowi, który od niedawna przebywał w Lublinie, dotychczas z Rzeszowa „linią powietrzną”.

Jako wydarzenie dnia można też określić ukazanie się pierwszego numeru tygodnika „Odrodzenie”, który z datą 3 września pojawił się chyba nieco wcześniej w sprzedaży: albo w rocznicę wybuchu wojny, albo nawet 31 sierpnia. Pismo „wymiślił” Borejsza, ale od podstaw stworzył Karol Kuryluk, redaktor międzywojennych lwowskich „Sygnałów”, przywieziony do Lublina ze Lwowa przez Putramenta — na polecenie szefa „Rzeczypospolitej”. W oczach Zbigniewa Bieńskiego sekretarza „Odrodzenia”, „Kuryluk postaciował redaktora jako twórcę, a nie wykonawcę czyjejś koncepcji. Redaktor w takim sensie, w jakim pojmował i wcielał to pojęcie Kuryluk, to twórca w pełni odpowiedzialny za dzieło od najdrobniejszego do

najobszerniejszego konkretnego”. Obecność takich dwóch indywidualności, jak Borejsza i Kuryluk, pod jednym dachem budynku przy Krakowskim Przedmieściu 62 — bo tam również mieściła się redakcja „Odrodzenia” — gwarantowała całkiem interesujące życie towarzysko-zawodowe, którego jednym z banalniejszych przejawów były częste spory o miejsce na maszynach drukarskich, wyrywane z reguły przez organ PKWN. Pewnego razu „Rzeczpospolita” tak się rozpędziła, że wydrukowała swoją kolumnę na stronie bogu ducha winnej „Gazety Lubelskiej”.

Tymczasem było jednak i nareszcie pismo literackie. Pierwszy numer liczył 8 stron formatu „Rzeczypospolitej” i kosztował 8 zł. Cena następnych podskoczyła do 10 i 15 złotych, a więc odpowiadała wartości wielu bochenków kartkowego chleba: za jeden kilogram płaciło się wówczas 0,75 zł. Na wolnym rynku cena kilograma pieczywa sięgała przecież kilkunastu złotych.

Premierowy numer otwierała lista uczonych i artystów zmarłych lub zamordowanych podczas wojny i okupacji. Był to wykaz bardzo fragmentaryczny, z oczywistych względów obejmujący może ułamek strat, które ustalono dopiero po wojnie, a przy tym nie pozbawiony błędów. Na pierwszej stronie znajdowała się ponadto „Modlitwa” Tuwima, znana już czytelnikom dzięki „Rzeczypospolitej”, oraz wiersz Putramenta „Toast”. Wewnątrz numeru wydrukowano utwory poetyckie Przybosia, Jastruna, Ważyka, Bystrzyckiej, Balińskiego, Pasternaka, Leca, Słonimskiego, Jaworskiego, Huszczy, Piotrowskiego, Broniewskiego i Zakrzewskiej, a ponadto opowiadanie Putramenta „Święta kulo”, krótki reportaż Szenwalda oraz teksty publicystyczne i recenzje pióra Minkiewicza, Kałużyńskiego i Bossaka, który skreślił kilka zdań na temat działalności Czołówki Filmowej Wojska Polskiego. Uzupełniały numer fotografie żołnierzy i sprzętu wojennego oraz portretowe rysunki Juliusza Krajewskiego i Aleksandra Rafałowskiego.

W takiej postaci zamieszczano w Lublinie czasopiśmiennictwo literackie Polski Ludowej. Miało ono

charakter „narodowo-frontowy”, w zasadzie nie podejmowało ostrych problemów ideologicznych, publikując teksty pisarzy przebywających na emigracji obok „lubelskich” przybyłych do Lublina ze wschodu z armią, albo z ludowej partyzantki. Starano się budować jedność narodu, którego głównym celem było zwycięstwo nad Niemcami. Na wiadomym zebraniu przy Radziwiłłowskiej 9 takie samo zadanie stawiał literaturze Putrament. „Odrodzenie” z natury rzeczy sprawę wojska uważało za najważniejszą, co jednak nie znaczy, że ilość miejsca, jaką poświęcało tej tematyce satysfakcjonowała wszystkich czytelników. Zastrzeżenia formułowano pod tym samym dachem, który chronił redakcję tygodnika (ukazującego się zresztą bardzo nieregularnie) i dziennika.

Krytyczne uwagi wzbudzały też kryteria stosowane przez autorów „Odrodzenia” przy omawianiu niektórych lubelskich faktów artystycznych. Bo trzeba wiedzieć, że już w pierwszym numerze sygnalizowano w piśmie respektowanie autonomicznych wartości kultury. Referując przebieg pierwszego wieczoru literackiego w Teatrze Miejskim, Zygmunt Kałużyński bronił awangardy jako specyficznego doświadczenia „pedagogicznego” literatury, choć uznawał ją za zjawisko historycznie zamknięte, a za jedyny nieschematyczny wiersz napisany w innej konwencji uznał „Karabin” Putramenta. W przeciwieństwie do recenzentów prasy codziennej.

Ireneusz J. Kamiński

Na tym kończymy druk opracowania I. J. Kamińskiego na temat życia społecznego i kulturalnego w pierwszych dniach po wyzwoleniu.

(Red.)

Steffen Menschning

JANUSZ KORCZAK (1878—1912)

Jeden małego krok,
już jest w pociągu osieroconych dzieci,
W ręku
zielona flaga nadziei.
Nauczyciel, który chciał zostać dzieckiem
w marzeniach sennych
w wysokiej trawie.
Małe szarpnięcia,
warszawski pociąg przyjeżdża do Trebinki,
osierocone dzieci
zielona flaga nadziei
Nauczyciel, który miał zostać dzieckiem
przez śmierć
w niemieckim gazie.
Mój zakochany w dzieciach przyjacielu
czyżbyś wsiadł
do Zyklon-B-Ekspresu?
Powiedz mi proszę, proszę nie mów mi
nic.

STEFFEN MENSCHNING, ur. w 1958 r., pracownik
radia NRD, wyróżniony w 1978 r. nagrodą Centralnej
Rady FDJ na VIII Seminarium Poetyckim w Schwer-
in i Dyplomem im. J. H. Bechera.

Heike Neumann

PO DŁUŻSZEJ NIEOBECNOŚCI

Cóż znaczy
ten brak słów. Obce
stoją przed bramą ust.
Nie wiedzą,
że przyjąć muszą. Zaraz.

Tylko klucze
pobrzękują w kieszeni
wspominają,
ostrzegają:
było coś
między nami.
Może słowa
jak strzały bez grotów
daremne.
Teraz jednak
nie milczmy.
Niech właściwe słowa
najprościej wymówią
małoduszne
usta.

HEIKE NEUMANN, ur. w 1948 r., bibliotekarka w
Zella-Mehlis.

Klaus Körner

POWRÓT W NIEZNANE

Wejdziesz w koleiny bezkresu,
włoż na mnie ręce
błogosławiąc
policz
chwile nocy:

wtedy
język rzeczy
wyrzeknie się
warg,

krwistoczerwona
róża
rozkwitnie
jak

osaczone przez słowo
milczenie,

i powrócimy
do dialogu rąk,
do głosu serca,
do rozmowy oczu,

z piersi naszej
wyrósł drzewo
cisza jego liści
wyjawi tajemnicę.

KLAUS KÖRNER, ur. w 1946 r., z wykształcenia pra-
wnik, obecnie pisze i komponuje w Berlinie.

Gerd Adloff

ŻYCZENIE

Nie odmawiajcie
waszym wargom słów
ani sercom
prawa do smutku.
Nie bójcie się wspólnej przeprawy przez lód
choć ugią się i pęka pod stopami.
Wśród twórczych sporów
badajcie pilnie
cenną odrębność
drugiego człowieka
i zostawiajcie wasze drzwi otwarte
ten drugi znajdzie sobie do was drogę.
Wtedy być może
w gwarze lub skupieniu
zastanowicie się
kiedy i dokąd odleciał wasz smutek.

GERD ADLOFF, ur. w 1952 r., obecnie student germa-
nistyki w Uniwersytecie im. Humboldta w Berlinie.



Fot. Jacek Mirosław

35 LAT I JA

Drukar- stwo jest jednak sztuką

Eugeniusz Kuręda

URODZIŁEM się dwa i pół roku przed wojną i byłem, jakby od tej chwili skazany na cztery klasy powszechnej, czyli na pół-analfabetyzm. Ojcowski kawałek ziemi w Rzeczycy pod Radzyniem Podlaskim niczego lepszego zapewnić mi w tamtych czasach nie mógł. Zresztą i zaraz po wojnie uczyliśmy się w remizie strażackiej i po chałupach, a siódmą klasę kończyłem aż w Międzyrzeczu. Nie od razu było tak różowo, to warto pamiętać. Próbowałem uczyć się dalej w Technikum Budowy Miast i Osiedli, ale nie przyjęli, chociaż świadectwo z podstawówki było bardzo dobre. Więc miałem zadowolić się Zasadniczą Szkołą Zawodową w Międzyrze-

cu i zostać szewcem. W pięćdziesiątym drugim roku ten zawód był uważany za dobry w moich stronach, ale wtedy chłopaków takich, jak ja wzywał już świat: Nowa Huta i inne wielkie budowy, a mnie już wcześniej interesowało drukarstwo, tylko nie wiedziałem jak można się tego fachu nauczyć i gdzie. Przypadek sprawił, że w prasie natrafiłem na ogłoszenie o rekrutacji do jedynej wówczas Zasadniczej Szkoły Poligraficznej w Nowej Rudzie pod Wałbrzychem, której patronował Centralny Zarząd Przemysłu Poligraficznego i Księgarstwa. Wydawało się piętnastoletniemu chłopcu, że cel jest bliższy. Chciałem, bardzo pragnąłem pojechać na Dolny Śląsk.

Potrzebne jednak było zezwolenie rodziców, rekomendacja szkoły. „W taki daleki świat chcesz odjechać, synu” — bronili mi rodzice, ale w końcu dali się

ubłagać. Wystąpiłem podanie i papiery do Centralnego Zarządu i czekałem, a czas się dłużył, że trudno opisać. Dziś dalsze kształcenie ponadpodstawowe jest prawie obowiązkowe, a po wprowadzeniu dziesięciolatki już naprawdę to się spełni. Samemu trzeba było podejmować decyzje i starać się o spełnienie pragnień. Ten dzień, gdy matka po moim powrocie do domu z pracy w PGR-ze Międzyrzec — Chalaszy wyjechała z obrazem list z Warszawy zapamiętałem z tamtych czasów chyba najbardziej. Znajdowała się w nim dobra wiadomość, zostałem przyjęty. W Nowej Rudzie dyscyplina była niemal wojskowa, rygor wielki, ale i przez te trzy lata skorzystałem z nauki można było wiele. Ukończyłem tę szkołę jako maszynista typograficzny i rozpocząłem pracę w sąsiednich Ząbkowicach Śląskich, gdzie warunki pracy były gorsze niż złe, no i tak daleko od stron rodzinnych. Ani w Międzyrzeczu, ani w Radzynie w tej dziedzinie pracy dla mnie jednak nie było, natomiast Lubelskie Zakłady Prasowe kończyły swoją nową inwestycję przy Unieklej i w nich od dwudziestu dwu lat pracuję.

Mówiło się wtedy, że Zakłady te są supernowoczesne. Tak można było chyba ocenić na tle stanu ówczesnej poligrafii w kraju. Rychto jednak przemiełaliśmy, że w tych nowych murach maszyny są jednak stare, że coś niecoś w Eurole i na świecie w międzyczasie usprawniono i wynaleziono. Następowala stonniowa wymiana urządzeń, a ponieważ postęp jest nieustanny, trwa to do dziś. Po pracy na śląskich przeszedłem drukować na maszynę rotacyjnej. Zaczęło się w warszawskim Technikum Poligraficznym i mam dwulicną technikę z tej dziedziny. Tak to wyglądało do momentu. Jednak moja przymiarka do młotów trzydziestu pięciu lat PRL byłaby niepełna. Przecież człowiek nie jest robotem, ani wyłącznie kimś, kto zdobywa kolejne stopnie zawodowe. Tak to prawda, że pragnąłem osiągnąć więcej niż by to mi było dane w poprzednim ustroju. Była to chłopska zapadłość i uodr. Równocześnie jednak odczuwałem i odczuwam potrzebę działania pozazawodowego. Stąd poprzednie zaangażowanie w pracę ZMP, a później w partijną, związkową, sportową, w obronie cywilnej, służbie przeciwpożarowej. Wszędzie czułem się potrzebny, wszędzie coś było do zrobienia: i jako członek prezydium rady zakładowej i jako grupowy partyjny na wydziale gazetowym i jako społeczny inspektor pracy w Zakładach i siedziba nielubiana. Dano mi za pracę zawodową i społeczna uznanie: tytuł przodownika pracy socjalistycznej, zasłużonego pracownika Lubelskich Zakładów Graficznych im. PKWN, srebrna odznaka naszego Związku Zawodowego i kilka innych wyróżnień, a WRZZ w Lublinie przyznała mi w maju honorową odznakę „Przedujący Pracownik

Lubelszczyzny” i nagrodziła wycieczką do Związku Radzieckiego. Nie mniej jednak ucieszył mnie jako mistrza zeszłoroczny tytuł nauczyciela i wychowawcy młodzieży. No i oczywiście ważnym dopełnieniem jest życie rodzinne: żona Wanda skończyła logopedię i pracuje w służbie zdrowia, a nasza córka Lidia uczęszcza do ósmej klasy, uczy się dobrze i jest harcerka.

Są przemiany w drukarstwie. Zaczęliśmy niemal od króla Cwiczka. Typografia powoli traci swoje znaczenie. Zaczyna panować fotokład, offset, wiele udoskonaleń. Kiedy w przyszłości powstaną wielkie prasowe zakłady graficzne, dla ludzi mojego zawodu będzie w Lublinie wiele nowych możliwości. Nasza obecna praca jest też ciężka ale daleko zadowolone. Wracam rano z nocnej zmiany, a widzę, że ludzie czytają „Sztandar Ludu”, dziennikarska i nasza robota. Wychodzą na spacer po południu, a ustawiają się po „Kurier Lubelski” co dwa tygodnie upominają się o „Kamena”, która z kolegami drukuję. Nowa maszyna rotacyjna z NRD jest niezwykle czuła na niedokładności, tymczasem brak do niej niektórych części wymiennych. Obciążenia karkowe były elastyczne, jednak dochodził z dolarowego importu. Teraz dostajemy zastępcze, gumowe i mimo naszych największych starań nie zawsze dajemy czytelnikom gazetę tak dobrą, jak byśmy tego pragneli. Radziecka maszyna była może starszego typu ale nasz osobisty wysiłek, nasza fachowość były wyraźniej widoczne. Mimo to jednak człowiek cieszy się, że tego nocna praca potrzebna jest ludziom, mogą się czegoś dowiedzieć, przeczytać interesujące artykuły i wiadomości.

Niektórzy twierdzą, że sztuka drukarska zginęła, bo przetrwała się w przemyśle. Przecież dawniej drukowaliśmy na niedzielną osiemdziesiąt tysięcy „Sztandaru”, a teraz trzysta. Uważam jednak, że poligrafia pozostała sztuką. Taki stosunek miał do niej zmarły niedawno wieloletni maszynista Stanisław Wielgus, tak myśli również drugi kolega w tej dziedzinie Waclaw Kopeć i inni. Kto ma poczucie piękna i estetyki, ten nie pozwoli aby uprzemysłowienie drukarstwa pogrzebało sztukę drukarską. Mogą pracować dwaj ludzie przy tej samej pracy i na tych samych urządzeniach, a wyniki bywają krańcowo różne. Jest moja ambicja, żeby należeć do tych najlepszych,

NIEDŁUGO minie dwadzieścia lat od czasu, gdy nieistniejący już dziś Związek Młodzieży Wiejskiej podjął się patronatu nad młodzieżą literacką zamieszkującą wsie i małe miasteczka. Zadania, jakie wówczas wysunięto, miały służyć aktywizacji kulturowej amatorskiego ruchu artystycznego w miejscach oddalonych od większych ośrodków kultury. W tym celu powołany został Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, którego Zarząd Główny, mieszczący się w Warszawie, miał koordynować pracę ośrodków wojewódzkich.

Wnet ruch KKMP przy ZMW skupi w swoich szeregach nie tylko młodzież wiejską podejmującą pierwsze próby literackie, ale także robotniczą, gdyż podobny patronat Związku Młodzieży Socjalistycznej okazał się przypadkowy i niewystarczający. Ruch ten przeżył zmiany w administracji państwowej, jak i w łonie organizacji młodzieżowych, a nawet przeżył jego mecenasów i współtwórców, do których należeli m.in. Stanisław Piętak i Wilhelm Mach. W niemalym stopniu zapewne przyczynił się do obecnej „eksplozji” młodej literatury w naszym kraju. Nie wątpił więc też miał swój udział w nastaniu „łustych lat” w działalności klubów „Rolnika” i „Ruchu”.

Część powyższych uwag można odnieść i do środowiska lubelskiego. Lubelski Ośrodek Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy utworzony został w 1964 roku, gdy na Lubelszczyźnie nie działał żaden klub młodoliteracki. Współzałożycielami jego byli m.in. Roch Sęczawa, Zbigniew Strzałkowski, Stanisław Weremczuk, Józef Zięba. W niedługim czasie skupia się przy nim liczna grupa młodych pisarzy z Lubelszczyzny: Henryk Pająk, Stanisław A. Lukowski, Waldemar Mi-

ZRÓDŁA

CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

15 LAT KLUBU MŁODYCH PISARZY W LUBLINIE

Stanisław Żurek

chalski, Dominik Opolski, Marian J. Kawalko, Jerzy Chłodnicki, Adam Fiala, Ryszard Kornacki, Kazimierz Rościński, Henryk Makarski, Henryk Kozak i inni. Przez trzynaście lat ośrodkiem kierował Jerzy Jedziniak.

Nie sposób w pełni podsumować piętnastoletni dorobek Klubu Młodych Pisarzy w Lublinie. Bo czyż wartości humanistyczne można oceniać matematycznie: kilkaset odbytych spotkań au-

torskich i prelekcji (najczęściej społecznie) w klubach „Rolnika”, „Ruchu”, w klubach osiedlowych i domach kultury, kilkaset publikacji w prasie, 54 tomiki indywidualne członków klubu, trzy wydane almanachy, udział w kilkunastu innych, nagrody na ogólnopolskich konkursach, sześć zorganizowanych Lubelskich Biesiad Literackich. Ponadto współpracował Klub z: Uniwersyteciem Ludowym w Gardzieni-

ach, klubem literackim „Kontrapunkty”, grupą poetycką „Samsara”, Kołem Młodych ZLP.

W 1968 roku jako pierwszy w kraju powołał Robotniczy Klub Literacki skupiający młodzież pracującą w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Współredagował kolumny literackie „Profile” oraz „Kontrapunkty”, redagował kolumnę „Zapole”, a obecnie, wspólnie z Kołem Młodych ZLP, redaguje cztery kolumny młodoliterackie „Zróżdła” ukazujące się w „Kamieniu”.

Kilkanaście osób związanych z KKMP weszło do Związku Literatów Polskich (Henryk Pająk jest prezesem Lubelskiego Oddziału ZLP), większość z nich jest nadal aktywnymi członkami Klubu. Liczna grupa najmłodszych ujawnia duży talent literacki, np: Anna Borkowska, Piotr Czarniecki, Adam Kulik, Waldemar Żelazny, Urszula Jaros, Stanisław Sadurski, Wiesław Kalabun. Ponadto bardziej są znane już w kraju nazwiska: Stefana Aleksandrowicza, Stanisława Piotra Gaszyńskiego, Pawła Gembala, Tadeusza Kwiatkowskiego-Cugowa, Zbigniewa Włodzimierza Fronczka, Cezarego Listowskiego, Jerzego K. Miśca, Dominika Opolskiego, Bogusława Wróblewskiego. A do tego dodajmy grupę najmłodszych tłumaczy: Antonina Mioduchowska, Sławomir Myk, Ryszard Borkowski, Waldemar Laszkiewicz. Klub zrzesza obecnie 78 członków. I chyba nie jest nieskromnością stwierdzenie, iż Lubelski Klub Młodych Pisarzy działający obecnie pod patronatem ZW ZSMP należy do wiodących w kraju. Należy jeszcze dodać, iż jego działalność jest ściśle zintegrowana z działalnością Koła Młodych ZLP i służy aktywizacji środowiska młodoliterackiego Lublina.

Zbigniew Strzałkowski

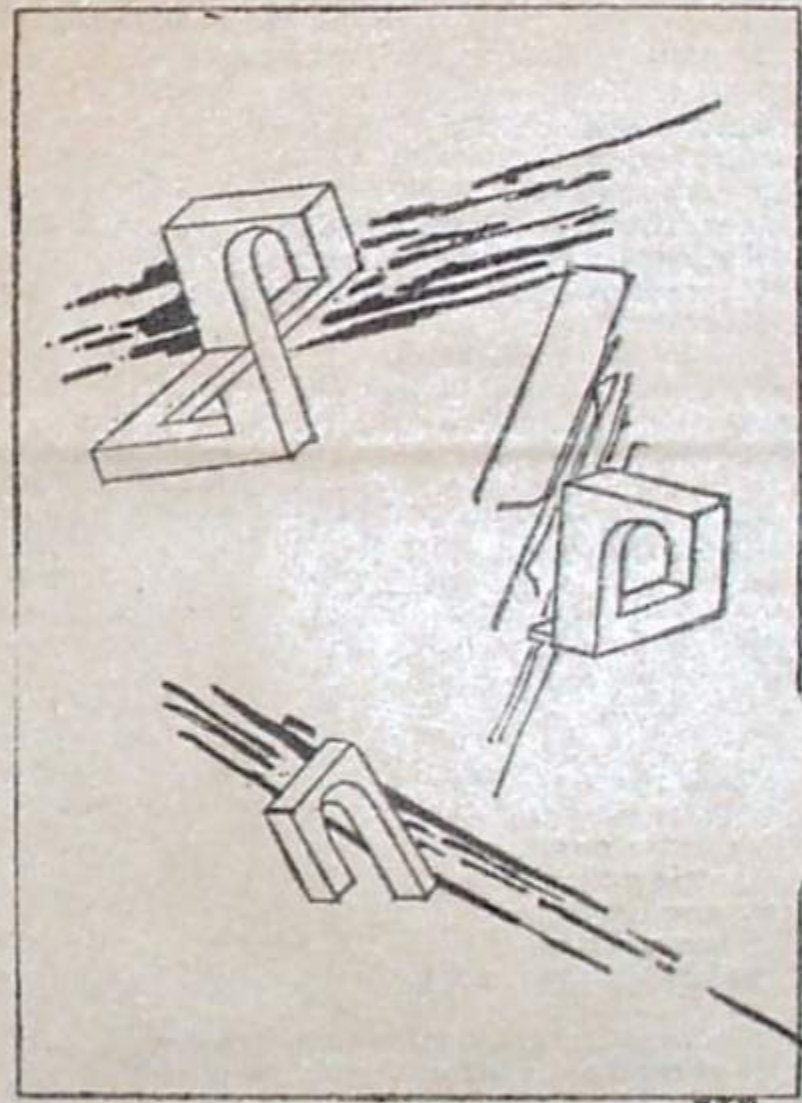
ROZMOWA Z BRATEM LISTOWNA

Piszę z głębi rodzinnego krajobrazu
porą ściekania mroźnych skał marcowych
kiedy szarość w purpurze zamiera
a płak błękitu wypływa w białe obłoki

Granica Ojczyzny w tobie ma swą krawędź
i we mnie drzemie lotem motyla —
wystarczy uchylić zaslonę tęczy
ujrzesz brzemiennej z nas dwojgiem
jak idzie poboczem zmęczona
niosąc naręcz babiego lata

Musisz wiedzieć co nas łączy trwale
że kiedy inni patrzą
na rany głęboko wżarte w polską ziemię
pojąć nie mogą żeśmy tyle przeżyli

Piszę z głębi pejzażu wonnego
nakryty płaszczem fioleto i kąkolu
i myślę o nas idących do lasu
pod skrzydłem dojrzałego lata



Rys. Grzegorz Olika

DEBIUT

Mieczysław Szmit



Czasem
w cztery ściany pokoju
przychodzą zmarłe ciotki
napelniają naczynia słowami
rozmawiamy
dzisiejszej nocy był z nimi dziadek
usiadł na krześle
powiedział
pamiętasz kolysałem cię
pamiętam
miałem wtedy dziesięć miesięcy
w rocznicę moich urodzin umarłem

Waldemar Michalski

BOGDANKA

Jeszcze nocą płyniemy do ostatniego oddechu
i srebrne kropki odbijają z loskotem
o brąz spalonych ramion i piersi:
raz pod falą raz na fali
tylko krzyk perkoza podrywa serce do skoku
a dłonie do wiosel bo zastygły na chwilę
gdy w toń wpatrzeni świat drugi odkrywamy:

osoki i rdestnice niczym korale i rozgwiazdy
wspinają się do ramion oblekają biodra i szyję
a głębiej tylko czerni i smak gorzki topieli.

Do lustra wody przyczajeni
dotykamy jej ustami — cień białej lodzi tańczy
wokół księżycy i cisza tak wielka
że tylko słycać echo spod ziemi maszyny:
to człowiek zaszedł jezioro od spodu
i węgiel — złoto drąży głęboko
ani śniło się to wczoraj — ani uwierzyć w to dzisiaj,
a mówią już wszyscy dokoła:
na słoneczną wędkę złowił sztygar bogdanek!

POKÓJ NA WIERZBOWEJ

Kot bezczelnie pręży się w oknie
wpijając zielone ślepia w twoje ramiona
rozczesujące złote strumienie włosów.

Jak Maur jestem zazdrosny
nawet o promienie porannego słońca
którym odkrywasz piersi pragnącej Ledy
niczym owoc winnego grona czuły
na rozkosz poranka.

Im bardziej wolni tym bardziej pragnący
i tylko miłość niewolę tłumaczy:
nie szukam w tobie piękna greckiej bogini
lecz pragnę nadziei: tylko ona jest źródłem miłości.

Węzła jej serca otwiera się Bardziej
żółknie Wywodzę część przeto z moderny
Ziółka w 600 lat temu Bitwa pod płowcami
Wyschła w 500 lat temu Groby jagiellonów
Bleibergowo

Zamiary na siły przeliczać
Czy sokoła przez macierz mnożyć lub przez szczęście
Ciągłe wymyślasz nowe operacje
Wyrzucono cię z pierwszego semestru algebry
Zostałeś komandorem kondornem nauki okultystą
poetą
Zarty przecież to nie żaden zawód
Zakłada co najwyżej pewne niespodzianki
Raczej przykre Poeta może stracić brata
Przeszkodzić w sekcji zwłok zaplanowanej
A za karę kaza mu rodzic
na sali tanatologicznej
Poetę w dupę może kopnąć major
Naturalnie vis Tylko vis się liczy
Poeta to wspólnie mijana padlina
Do ochrony przyjmę upadłych poetów
Niechaj ćwiczą na drążku
wyciskają ostatnie słowo z głuchoniemych
Ludzi sprawdzasz w działaniu
i na akcji mlecznej
Czy potrafią nakarmić Kogo
Nie ludźmy się panowie
Poeta to anioł
Jak już wiemy
Skąd
Istota w pełni nie z tej ziemi
choć czasami spadają
Wiadomo że anioły były w konspiracji
Jak wiadomo Skąd
Powiedz
Z księgi objawienia
Ergo z tomiku wierszy
z płatki starej płyty
Inne źródła
Co powiesz
Np koła zbliżone do szprych
Koła o których pojęcia nie ma
mayowie i dlatego przegrali
Nie znam innych źródeł
Wsluchany w zaduch wozów i belkot zegarów
tronie myśl w przypadkowym rozmieszczeniu ulic
Nie uwierzę w symbole na piazza Venezia
Brzmi zwyczajnie Bez spotkań
I jak zgrzyt hamulców
W cieniu karabinierzy
Turyści z polski
Ci przybyli powiększają
zużycie wody i fontanny
Pytają
Co znaczy napis czteroliterowy
a przecież obcy
Do szkoły bez łaciny
W innej Fakultatywnie Etat
Tak brak uczniów
Z psora zrezygnowano
Szkoda go Morowy
Naprawdę Senat z ludem
To pretensjonalne
Dobrze
Pijemy wodę jako senatorzy
A ten ołtarz Marmury
Straż przed parlamentem
Wczoraj składano bomby
w brescii na ołtarzu
No i po co żartować
A głupi uwierzył
Zartują wskrzeszający imperia
Tężami wyłącznie w swych pragnieniach
z każdym nieznanym
Almirante Zna pan go
Łysy silny sprytny
Kondotier lucyfera
jak mówi mój portier
Jak przyjedzie po pana
wyjdę z krycyfikiem
Musimy się ratować
Za naszą i waszą
Kolo pomnika nullo
kiedyś żyła kawka
Nie tutaj Ma tutaj Nie tutaj w Warszawie
Tak rozumiem Niedziedzie Nieprawda
Myślałem
Voi polacchi siete cristiani
Wie pan ta propaganda
A ludzie są ludźmi
Rodacy wode żłopią
z senatorskich fontann
Aqua fresca vino puro
figa stretta
Idę na largo argentina
Przy aperitifie i lodach
Przelamanych Rozmawiam z
sama paolą tala
najmodniejszą sex bombą leuro
Gdy zaczyna się mądrzyć
A dziób taki ładny
opuszczają mnie słowa
Już wolę w dialekcie
Jest głupia jak nieszczęście
Siete bravi soldati
Czy zamawiać maki
Orkiestra naprzeciwno
A paola tańczy
Sama mówi że lubi
Beda mi zazdrościć
jak zatańczy z paolą
jak najlichszy tancerz
Henio meloman aż się przekręci
w warszawie
jak mu szepną Z paolą
Bracie
Z kim ty tańczysz
Paola także nie lubi poetów

Chyba że scenarzysta i coś przewiduje
Mnie nie można ominąć
Przysługa w przysługę
Uprzejmość persmetywna czy też represywna
W pułapce słów
Paola nie długo pożyje
Rano przyjdą turyści
miłośnicy fontann Zobaczą
jak sinieje piękny trup paoli
Ciebie ido nie ujrzą
Pognają w obawie
by ich nie posądzono
Mnie mogą lecz nie ich
Jaki poeta zabił
kogo kiedykolwiek
Nawet policja takich głupstw nie strzeli
a przecież często wywodzi się z ludu
wie że poeci to ludzie niezdatni
tępi do zabijania
chroniczenie chroniący życie
W dodatku paoli
Takie pełne blasku

Elegia na śmierć paoli pitagora pani która zresztą żyje i miewa się dobrze a której chciałbym życzyć wyłącznie sukcesów

Andrzej Tchórzewski

O gwiazdo nadtybrańska
wysnuta z języka
trwała perwersjanistko
Ciągłe grasz w takich Paolo il freddo
Kiedyś cię malowano w grobowcach etruskich
i byłaś przedstawiana pod postacią serph
in statu coitandi
Wczoraj ja jeden z polaków
bo ziemkowie jak ognia unikają premier
ze znanych nam powodów
ja jeden widziałem
Jak tu cię nie podziwiać
W każdym nowym dziele
jesteś ciągle ta sama
ale jednak inna
Więc nie jestem polakiem
Polakiem tulaczem
wiecznie spacerującym
po rzymie i miełau

O gwiazdo nadtybrańska
gdy umrzesz jak motyl
wtedy zostanie pawieć
i będą mnie puszczać
i będą mną rzygać
W tym przepaszam
za śmiałość tylko twa zasługa

Wiem że umiesz oceniać sobie sprawiedliwie
Wierzę wszystkim wiadom Czytam jak o tobie
więc przyjmij hold należny
nim zdechniesz dla largo argentina
O gwiazdo łask tanych
Tylko moi rodacy są skąpi jak węże
Tu przenicujemy wspólnie dowcipy o szkotach
Chciałbym żebyś umarła
i wbrew chodom w kurii
nie została wskrzeszona
O tę drobną przysługę o znak pojednania
błagam przysły sobór powszechny
Niech paola szczególnie
jeśli prawdziwa miłość ma zatrzymać
Nie przeminię bez śladu
Partret zamówię w Albertiego
Montale niech ciebie namaluje
gdzieś w castel fusano
Jak go bardzo poproszę
Powiem że kochałem
A włosi
cenią miłość
Sam kiedyś słyszałem
jak taką opinię wyrażał turysta
Obcy całkiem Straniero
Nie jak ja Artysta

Malarzy młodych skłonię
by na proch cię starli
Solidarność pokoleń
na to można liczyć

O paolo paolo Nie udal się
pomysł ukrycia twojego nazwiska
w nekrologu
Jeździłaś do miletu
Powiedz
Nie jesteś pierwszą lepszą
Masz już osobowość

Swoją chronię przed tobą
wiec może jej nie ma

Może można mnie zdusić
rękoma obiema
Twoje ręce paola
znają cudzoziemcy
Italia zna twe piersi
No i jeszcze pępek
A kiedy umrzesz
złożą ci ręce na piersiach
Paola nie damagam się wielkiej ofiary
Przez 5 lat mieszkałem w pobliżu majdanka
Cwiczyłem wyobraźnię
Znam dobrze tę lekcję
Pamiętam ewangelie
list św pawła

I znowu się wyglupiam
Do żydów a nie do tytusa
Polacy są grzeczni
Galują panie w ręce
prawia komplementy
Wdzięczność ich przewyższa
najstarszą kastylię
A że piją z fontanny
jak widzisz nie wszyscy
A też jestem polakiem
No chyba nie powiesz
że spotkałaś wędrowca
Bo kim jest wędrowiec
Katem Sędzią Ofiarą
Z tym mogę się zgodzić
Jestem ofiarą grzechu co się nie narodził
Marzenia
W imię marzeń żądam twojej śmierci
Gdy umrzesz z radości zabiję
trzysta wolów
bo wtedy ekrany rzymskich kin
będą nareszcie białe
I obejrzę z dziewczyną film
i spotkam cię w pustej sali
Migdałac się z rozmachem
niespotykanym w zamierzonych
dziejach kinematografii
wolni od natręctwa aż po samych siebie
stwierdzimy że dziewczyna moja jest podobna
do paoli pitagora

Widzisz Nie potrafię ci tego wyjaśnić
Może poczytasz trochę klasyki
Może w studio jest jakiś
poeta na etacie stróża
palącego wykorzystane i odrzucone scenariusze

Może jest ktoś kto cię nienawidzi
kto chce ci zmniejszyć gażę
dawać gorsze role
Zapytaj ich dlaczego wolę
elegie poetycki nekrolog
nie ode

Dlaczego najpierw wstydlivi
a później jawnie żądam
twojej śmierci
A może ci nie powiedzą
To szalenieć
To cudzoziemski furiać
Spytają Romano
I odpowiesz Si Certo
Rzymianie mają sporo
zdrowego rozsądku
bo przestrzegają siesty
nie włóczą się w upał
nie pytają o alupstwa
o znaczenie liter
w które i tak nie wierzą

Autobus ze znakiem SPQR
zajeżdża i cyganie
już na piętze żebrzą
Do zebrania jak strzala
są szybcy jak ogień
To nikogo
nie dziwi
Na czolach mają znaki SPQR
symbol bezkastowości
Cyganie są wolni
To nikogo nie dziwi
Już wszyscy przywykliśmy
do nadrealizmu a ty naiwnie pytasz
czemu chce twojej śmierci
Pomyśl Wybadaj w studio Znajdź w Boskiej komedii
Noże padre coś doda
Udaje skromnego
a naprawdę to tylko aktorki uwielbia
Jak ja gdy byłbym księdzem
lecz jestem poetą
a poeta caci tylko
sprawcę swego ognia
Baga
Nie bądź wulgarna
Żądam twojej śmierci
Paola ach paola

Ile to mnie kosztuje
A sztuka jest jedna
Gdy przywykła do ciebie
mnie nie zauważa
Już nawet cygan ręki nie podaje
a za tobą by biegła
Beznadziejna sprawa

Jeśli nie umrzesz
to zginiemy wszyscy
Cygan utraci magię
mnie odejma brata
Zniknie i ślad komunii
Jesteś katoliczka
Wybieraj
Świętość albatrosów

METAFIZYCZNY TELEFON

OLIVIO, moja poczo. Mój marzenny sposobie bycia, dzwonię nie dlatego żeby cię uwieść, ale by porozmawiać ze sobą. To prawda, chcę twoich piersi, lecz przede wszystkim chcę istnieć obok — gdy śpiewasz, idziesz do sklepu, umawiasz się. Chcę być twoim przyjacielem i kochankiem, słońcem i kwiatem — nawet gdybyś mnie zerwała z najbliższej łaki. Lubię się tarzać we wszystkim co innym wydaje się obce i wrogie. Przez przekorę i żebyś wreszcie uwierzyła. Ani wiesz, ani pomyślisz, gdzie mógłbym cię zawieść, nie domyślasz się połowy szeptu, połowy szaleństwa i niepokoju — jedyne co naprawdę pozostaje i jest warte. Od Pana Lemona wypożyczę małego Boga, będzie pomagał wtaczać kamienie na zielony pagór — puszczone wolno wytrysną śmiechem ze strumienia. Samotność pogłębianą przez słowa tylko nas łączy: ten czas jest nasz bez względu na to, co powiesz. Nie kocham cię, ale to nie ma żadnego znaczenia, nasze ręce już się poznały, a to dopiero początek. Twoja powłóczysta suknia cię parzy. Nie zamawiaj u nikogo przyszłości, najlepszy wróż jest bez siły. Popatrz na swoje ręce po wewnętrznej stronie i zielony kamyk co obraca się uparcie: tam wypisano.

Nie studiowałem żadnego uśmiechu, wszystko co zadawalloby przeciętnego gracza znalazło spełnienie. Tam na polanie stoi chłopak z rozwartymi ramionami czekając aż wpadnie w nie słońce, kusi Los.

CHŁOPIĘTWO PANA LEMONA

CHŁOPIĘTWO Pana Lemona staje w otwartych drzwiach do ogrodu jak piwonie i narcyzy i jak włosy dziewczyny, którą kocha: prosząc po raz który o wybaczenie modli się: dobrze dobrze;

wypływa małą nieodpowiedzialnością i zapachem malin w starym sadzie gdzie jeszcze słychać na ścieżce kroki dziadka, który umarł przed ośmioma laty;

chłopięstwo niesie nostalgię, która każe czuć się jak w klatce — w najmniejszym zdarzeniu w najpełniejszej chwili Pan Lemon zatraca się w długich spacerach kiedy bije tylko serce i usta łapią powietrze a dalej nie i wciąż nie — zdławiony myśli czuje tylko ziemię pod stopami i siebie porzuconego na marcowej drodze już miękkiej a jeszcze posypanej żwirami.

KONTERFEKT

OLIVIO, poczo mojej poczi. Cichy śnie wysokich traw krzyku dziecka w burzę. Twój uroczy sposób mówienia, twoja kokieteria zaczynają mnie rzucać. Kobiety uśmiechające w łasnę bardziej, lecz popatrz: oto mam 30 lat, jestem stary, skłonny do pieczęci i przeciągania jak leciwy kot. Nasza wspólna zwinność wcale nie przeczy zamilowaniu do wygód: czas przeciążenia ma również swój początek i koniec.

Myślę: jesteś potrzebna w każdej południe, wieczór i kiedy wróble zaczynają szaleć z uciechy na nowy dzień. Udzielam ci się szybciej niż myśl niż dłoń — dlaczego po drodze tyle słów? Pozwól się nieść, te tylko tatarak i żaby, łapanie jaskółek pod wieczór, tylko wołanie, kiedy oczy pełne i śmiech, czasem smutku odrobina.

Zbyt lekkomyślnie tracisz połowę lata i jeszcze 3 dni — jesienne, podzwonne nitki nie będą miały w sobie fineli człapania polnego konika po majowym deszczu. Znasz moja nieustająca gotowość do wzruszeń — nie sądzę, że nam się uda, ale po cóż ronić dni — niech się śleje, wyrosłimy jak dzikie zboże. „Nie” brzmi jak drugi świat lub pieprz.



Fot. Bogdan Szewczyk

WŁADYSŁAW KŁĘPKA „WSPOMNIENIE LATO”

Magdalena Rakowska

DESZCZ

przywołałam do siebie deszcz
mokre ślady rozbitych chmur
na małe maleńkie melancholie
chciałam zamknąć deszcz w usta
na spoczynek
tabletkę z błękitu i zasmucenia
jest najlepszym lekarstwem na niepogodę

DLA kogo problem ten może być najbardziej interesujący? Dla prowadzących rubryki złamanych serc, urzędników w biurach matrymonialnych, czy autorów poważnych książek o sztuce? Takich książek można naliczyć kilkanaście. Niestety, wszystkie rozpatrują sytuację artysty w czasach dość odległych. Byłoby niezręczną przesadą, gdybym stwierdził, że problem jest interesujący tylko dla autorów. Mojej niezręcznej babce podobna sprawa nie pozwalała zmrzyć oka w niejedną noc. Oczywiście, w czasach młodości. Podkochiwała się wtedy a może nawet kochała, w jedynym w okolicy artyście. Nie wrócono mu kariery. Nie znaczy to, iż był mężczyzną mało atrakcyjnym. Kariery faktycznie nie zrobił. Wkrótce poślubił innego. Dziadek też okazał się niezłym artystą — wspominała później. Kiedy chciał przestraszyć swą małżonkę — zamykał się w pokoju i strzelał w sufit. Rzekome próby samobójstwa omal nie doprowadziły do samobójstwa babki. Miał też inne numery, czyli kawałki — jak mawiała babka. Ponieważ dziadek był nauczycielem, ba, kierownikiem szkoły nie wspomnę więc o innych ekscesach. Mogłoby wyglądać na krytykę przedwojennego szkolnictwa, a nie o to przecież chodzi. Nie chodzi również o to, by wychowankowie dziadka usprawiedliwiali swe niegodne postępowanie złym wpływem wychowawcy. Okazał by się mogło, że do szkoły dziadka uczęszczało tyle osób, ilu było absolwentów wszystkich szkół w powiecie.

Tematy

Temat współczesny nie może być pominięty. Przecież w prawie każdej współczesnej powieści młodego autora występuje poeta. Przedstawiany bywa zazwyczaj jako pospolity lektokuch lubiący zajrzeć do kieliszka, ba, w niektórych powieściach potrafi przepić nawet stypendium wywalczone z wielkim trudem w zarządzie głównym, a już w każdej książce flirtuje z dziewczętami, często nieletnimi. I nie jest to oczywiście nowość. Poeta występował już w utworach powstałych znacznie wcześniej. Spotyka się go także w powieściach spisanych przez współczesnych prozaików starszej generacji. I wszędzie jest taki sam. Ciśnięcie na usta pewne określenie. Słowo to ma największą moc w wypowiedziach formułowanych przez księgowych i personalnych. Brzmi ono — nieodpowiedzialnie.

Poeta znalazł konkurenta. Równie często jak ten pierwszy bywa eksponowany w powieści, fotografik bywa eksponowany w filmie. Ktoś może się skrzywić, że fotografia nie jest sztuką i akceptacja fotografa jako artysty jest akceptacją wola zaprzęgniętego do karety. Jednak fotograficy używają pieczęci z nadrukiem — artysta fotografik. I jest to argument, któremu nie można nie ulec.

Ekspansja fotografii. Akty w prasie, wystawy. Fotograficy z pewnością liczą na sławę. Na co liczą modelki — nie wiem. Jedną z nich poznałam samobójstwo, gdy rozpoznano ją na zdjęciu podpisanym. Jako Bestsabe. Owo niezrozumiałe dla wszystkich imię było należycielem wzmawianym słowem w miasteczku modelki.

Artysta fotografik dostaje nagrodę. Waha się czy przyjąć. Długo się zastanawia. Medal przysyłają pocztą.

Jest to człowiek targany sprzecznościami. I stąd tylko krok do...

Homme fatal

Żeby zostać poetą trzeba dużo wycierpieć — śpiewali kandydaci na wieszczów w akademiku po oblanym egzaminie z ekonomii. Wiele już przeszli. Niejedną ma za sobą zdany w drugim terminie egzamin. Piszą o nim w miejscowej prasie. W ubiegłym tygodniu nawet w „itd”. Pomawiają go, że stylizuje się na młodopolanina. Przeanalizował ten fragment. Kilkakrotnie. W sumie nieźle. Niestety, nie wszyscy chyba przeczytali. Nie uchroniło go to od nagany w pracy. — Poeci nie muszą pracować w PKS-ie — oświadczone. Panna J. zamierza wnieść proces o alimenty. Pani M. (mężatka) nie zamie-

Czy artyście wolno się żenić?

Zbigniew Włodzimierz
Fronczek

za go utrzymywać. Tej nocy pisze wiersz. Opisuje swe ciężkie życie. Rozprawia się ze swymi przeciwnikami. Stawia ich w nienajlepszym świetle. Niestety, żaden z nich nie rozpoznaje w utworze siebie. Nie wyjeżdża do Paryża. Jak na ironię losu listonosz wręcza mu zaproszenie na warsztaty twórcze do Biłki koło Parczewa.

To straszne. Jak niewiele osób zdawać sobie może sprawę z jego cierpienia. Jak długo trzeba będzie czekać aż się wyjaśni. Aż ujrzą światło dzienne pamiętniki Kościńskiego, Zięby i Pajaka.

Cyganie i filistrzy, Wysokie progi

W ABC dobrego wychowania nie ma wzmianki, jak postępować z artystą. Społeczeństwo nie jest wobec takich, jak on bezradne. Jednego zaproszone do dyskusji w audycji: „Jakie problemy niesie przyszłe bycie razem”. Teraz pisze traktat o zaangażowaniu w sztuce. Spodziewa się nagrody wojewódzkiej. Ma kłopoty z żoną. Ale także jeszcze inne.

Nikt nie wie, ilu cyganów przypada na sto tysięcy mieszkańców. Nikt nie przeprowadza takich ankiet. Wyniki mogłyby być oplakane. Okazał by się mogło, że dysponujemy dwoma, może trzema eksponatami w trzystutysięcznym mieście. Ale skupów butelek też nie ma za dużo i przydałoby się więcej. O filistrach lepiej nie wspominać. O wysokich progach także.

Cygan niósł podręcznik savoir-vivre'u. Ktoś, kto mógłby być uważany za filistrę, krzychał — pokażę wam do czego jestem zdolny. — Obaj byli pijani — poinformowała mnie wtajemniczona osoba... — hej, Cyganie, jakbym chciała techać z wami... — dało się słyszeć z otwartego okna. Elże, elże, nie o takich tu cyganów chyba chodzi?

Kobieta czy sztuka?

„Hej, od Krakowa jadę w dalekie obce strony, bo mi nie chcieli dać dziewczyny wymarzonej!” — śpiewa Stach Przetakiewicz. I minę ma poważną. Nie tylko minę. Problem także.

Gdyby go zapytać — kobieta czy sztuka — odpowiedziałby: — Kobieta. I wydaje mu się to proste. Niestety, innym mniej. I słusznie, bo życie jest skomplikowane. W grę może wchodzić nie tylko kobieta i sztuka, lecz także idea i pieniądze. Niekiedy kobieta wnosić może pieniądze i być idealistką, ale sztuka unika uproszczeń. Zwłaszcza literatura ambitna. Dlatego z taką sytuacją spotykamy się rzadko.

— Co dwie pensje, to nie jedna — mówi kobieta i artysta idzie do pracy. Z teczką pod pachą. W niej drugie śniadanie. Artyści też ludzie. Od czasu do czasu muszą coś zjeść. Popracować także. Malarze dekorują wystawy, poeci piszą teksty piosenek, a niekiedy przemówienia. Wielu z nich ma swoje konta w banku.

Tak medytujemy ze Stachem Przetakiewiczem. Stach Przetakiewicz znany krawiec. Zakład I kategorii w centrum miasta. Stach kupuje kwiaty i udaje się w kierunku mieszkania swej muzy.

Ze co? Ten problem nie dotyczy Stacha? Że niby nie artysta? Tylko rzemieślnik? Poinformuję go o tym. Żeby rozwiać wątpliwość z pewnością zasili Klub Robotników Piszących albo KMP. Z pewnością przyjmą.

Mariaż sztuki i salonu

Salon stracił swój blask. Rozparcelowali. A niekiedy żal. Takiego blasku nie ma w salonie fryzjerskim ani tym bardziej pralniczym. Powspominać jednak miło. Ale kontaktu z życiem utracić nie można. Gdzie indziej polska złote runo. Wille, mercedesy, badylarze. Badylarstwo. Córka badylarza jest dziś najwyższe notowaną partią na artystycznej giełdzie. Jak stoją akcje artystów? Kolejność jest chyba następująca: piosenkarze, aktorzy, artyści fotograficy, na końcu malarze, na szarym końcu poeci. Wbrew pozorom poeta nie jest aż w tak złej sytuacji, jakby wynikało z zamieszanej listy. Nierzadko kpi z wili, miast zaskarbiać łaski ojców żony, penetruje środowiska marginesu społecznego, pije w tanich knajpach, żywi się w barze mlecznym. Bar mleczny — przybytek jakże często spotykany w młodej literaturze. Rządziej, a właściwie nie spotykany w utworach starszych twórców. Starsi nie bywają w podobnych lokalach. Chyba, że już na emeryturze. Nie spotykany, bo artyści się żenią. Byłem na niejednym weselu. Wszystko wskazuje, że zabawie się jeszcze nieraz. Rzadko jednak uszczęśliwia artysta badylarską córkę. Wille też rzadko staje się jego własnością. Widziałem jednego śpiewającego pod okazywał budynkiem. Falszował. Nie wykluczone, że to ktoś z malarzy. Może poeta. Nie dawałem mu wielkich szans. Na wille oczywiście. Jego planów matrymonialnych nie można przekreślać. Artysta żeni się kilka razy.

Jacek Woźniakowski „Czy artyście wolno się żenić”, PIW, Warszawa 1978 r. 151, 2 ulb.

Leonid Jengibarow

KULA ZIEMSKA W DŁONI

W cyrku ludzie robią różne sztuczki. Latają pod kopułą namiotu, zonglują dziesiątkami przedmiotów i jeszcze do tego stają na rękach. Z własnego doświadczenia wiem, że trudno się tego nauczyć.

I to nie dlatego, że potem po nocach będą bolały plecy od nieskończonej ilości ćwiczeń, będą puchły dłonie rąk a oczy — zachodziły krwią...

Taka ciężka praca, ale mimo wszystko wcześniej lub później zapominamy o zmęczeniu. Nie możemy nigdy zapomnieć jednego: kiedy stoję na rękach i powoli odrywam jedną od podłogi — czuję, że na mojej dłoni leży cała kula ziemiska.

CHŁOPIEC KTÓRY WYNALEŻE KOŁO

W dwudziestym piątym wieku odnaleziono, wskrzeszono i zaczęto honorować tego, który wynalazł koło.

A on chodził smutny z bankietu na bankiet i za każdym razem, bijąc się w piersi, mówił:

— Za co mnie chwalicie? Koło... przecież ono jest jak księżyc, jak słońce lub kręgi, rozchodzące się na wodzie po wrzuceniu doń kamienia... Nie trzeba dużo rozumu, aby wynaleźć koło...

Naprawdę wielkim był ten, który wynalazł oś!

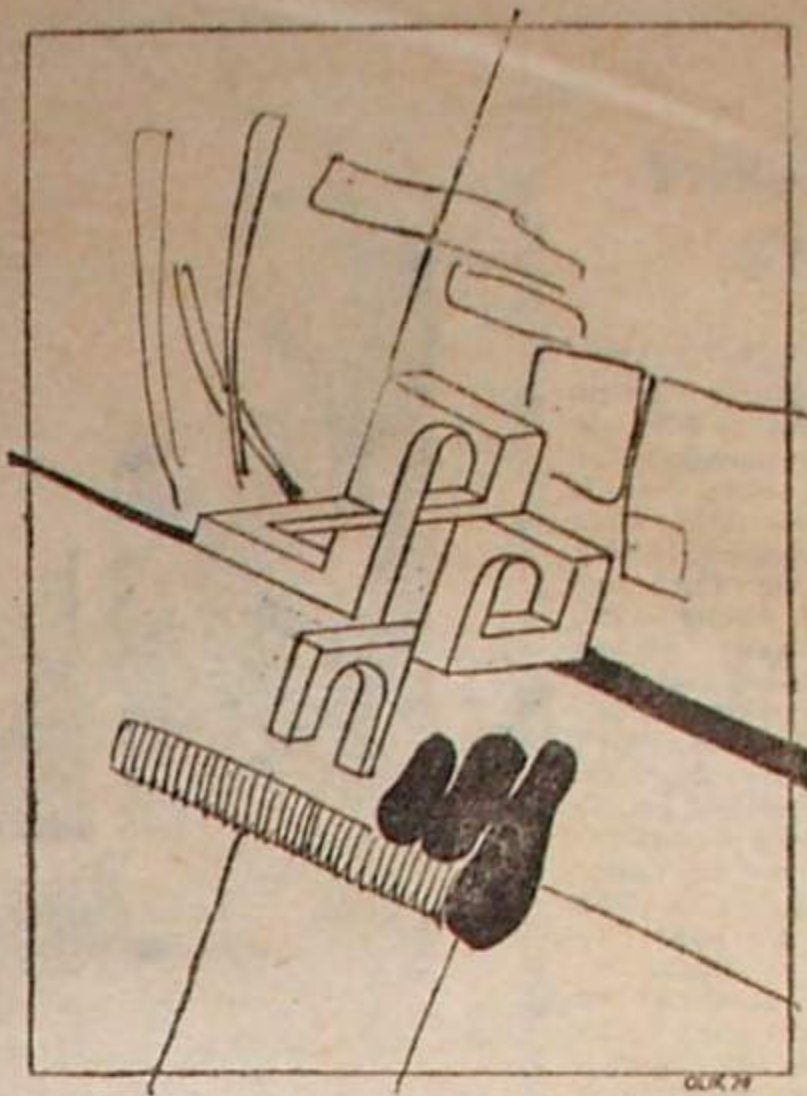
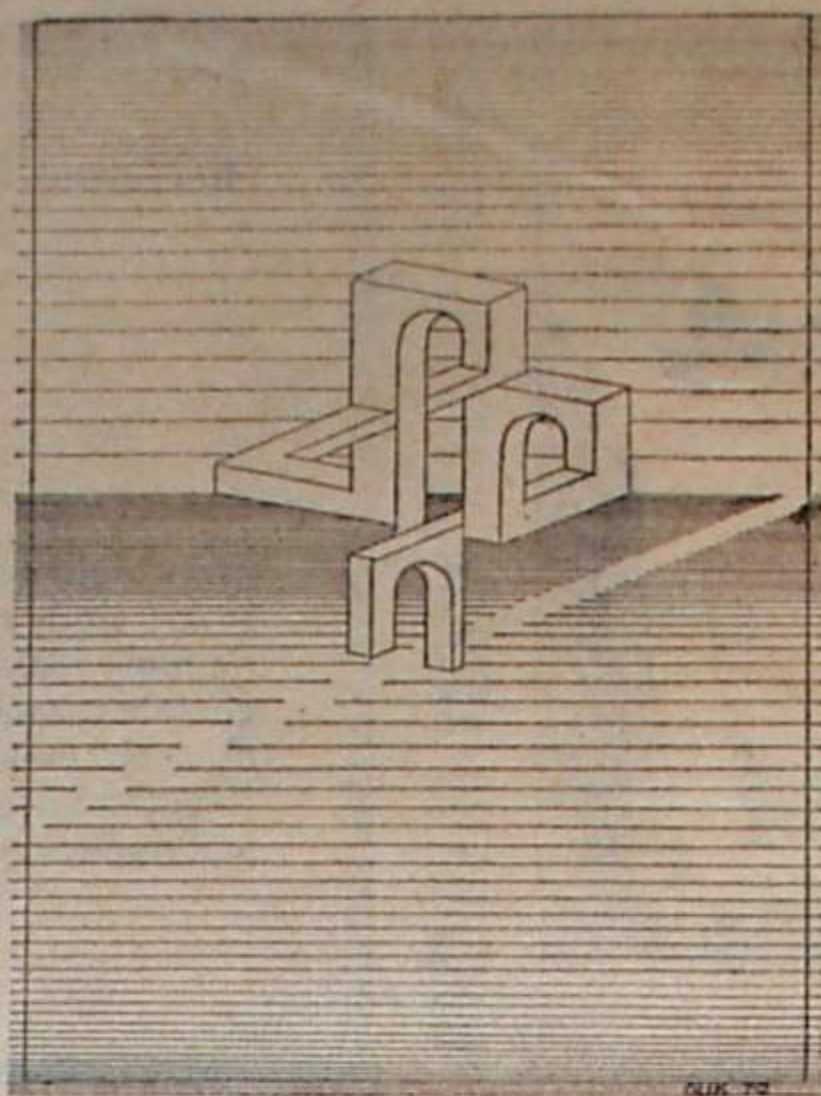
Wspaniały był ten chłopiec, który wynalazł koło.

KIESZONKOWIEC

Jestem złodziejem — kieszonkowcem. Jestem królem kieszonkowców. Jestem bogaty i szczęśliwy. Jestem prawie szczęśliwy. I tylko żałuję, że nikt nie nosi w kieszeni swojego serca!

Przeł. Waldemar Laszkiewicz

Leonid Jengibarow był z zawodu kłownem, pracował w cyrku w Erywaniu. Pisaniem zajmował się amatorsko, przed śmiercią wydał tomik „miniatur prozatorskich „Pierwsza runda” (sam przez dziewięć lat był bokserem). Po śmierci pisarza, w 1972 r., w szufladzie tego biurka znaleziono materiały do drugiej książki. W twórczości pisarza — kłowna i boksera dużo miejsca zajmują utwory, w których znajdujemy wiele elementów biograficznych.



RYS. GRZEGORZ OLIK

Kazimierz Niechoda

KOPACZ

W PAŃSTWOWEJ firmie „kopa-
czem ja został. Doły kopie.
Potem w te doły rury wkłada-
ją. Ot i rurami woda sama do
ehaty płynie. Wystarczy wihajster
przestawić.

Żyję na kwaterze. Taki hotel niby. Po ośmiu chłopów w jednej izbie. Nie powiem, brudnawo u nas. Pieczka też popowana. Kopeł zaraza. Czasami tak nakopeł, że nawet pluskwy na ścianie nie dojrzyj. Na piętrowych łózkach my śpim. Całkiem jak w klóni na wyżkach. Zrazu to ja się bojał, że zlece. Z czasem przywykł. Zawiaduje nami kierownik. Ładu niby w hotelu dogłada. Takiej pijanicy to ja w życiu nie widział. W kuźdą sobotę kierownik już od samego ranka urządzuje. Wie, że kawalerka będzie wypijała. A spust u niego samy większy. Postawio ewiartkę — on tylko chlup i już nie ma. Postawio połówkę, nie zdoło się obejrzeć, a tu już butelka pusta. Cudy jakie czy co. Kierownik oczy tylko wykabani, językiem usta obliżuje i na jeszcze czeka. Weź takiego i napój. Kłopot niewymowny. Kobyte prędzej napoisz.

Kawalerka popiwszy, bywało, że na dziewczynki poszła. Czasami prajdoszke jako ze sobo przywiodła. Wypić to i owszem ja wypić, ale z takimi to sie

nie zadawał. W bohobojnej rodzinie mnie wyhodowali. Dawno już sobie postanowił, że tylko na Jasi Wołoncewiczowej żenił się będe. Wierność słubował i słowa dotrzymywał, choć o chota na inne, a jakże, bywała.

Kierownikowi też takie sprośności bardzo nie podobaliś. Jak przykaraulił jakiego, że prajdoszke pod kocem ma, już nie przepuścił. Z miejsca donos do zwierzchników pisał. W takim donosie czarno na biały stoją, że taki to a taki niemoralność w hotelu rozpowszechnia. Ot takiego wzięł i z kwatery nazbito morde wyrzucili. Kurewnika jednego. Niektórych do rozsierzdziło bardzo. — „Czekaj ty my jeszcze ciebie ujaim!” — odgrzałis.

Pomnę, w któros subote, jeden z kopaczy dziewczynke przyprowadził. Krasawiczke na sto dwa. Włosy czarne, kudzierawe. Nóżki jak toczony. Wszystko akuratne. Kopacz jako siostrze kierownikowi jon swata. Monopolki ze sobo przyniosł dwa litry. To i kierownik rozpromieniony. Rączki zaciera. W pas się gnje. Inteligecika struga. Do gościnnego pokoju prowadzi. Tam monopolke rozpijają. Dziewczynka biale ząbki do kierownika szczyrzy. Zalotom jego chętna. Kopacz gdzieś wyszedł i zostawił ich samych ze sobo. Kierownik moeno już napity. Coraz bardziej do

dziewczynki sie przykrochmala. Widno, że krew zmieszana z mnopolko do głowy mu uderza. Portki zbereznik ściga. W płóciennych gaciach, podwiązanych w dole troczkami tylko zostaje. Takie gaci to chyba nasze dzładki w armii carskiej nosili. Jak dziewczynka kierownika tylko w gaciach ujrzała, to w pisk. Na korytarz chodu. A kierownik za nie. Ot, i ganajo sie oni. Ona piszczy, a on sapie. Już, już by jon dopadł. Ale w troczki od gaci się zaplątał. Rymenol jak długi. Guza nabił. Leży i stęka.

Jak kierownik za dziewczynko ganiał, kopacz milicjoniera przywiodł. Ten kierownika na otrzeźwienie zabiera.

Takim to sposobem ujajli kierownika biednego.

Nieszczęście u nas stałoś. Jeden z naszych umarł. Józik na niego wołali. Teraz Józik w dole na rury leży. Całkiem nieżywy trupek. Siniętki nieboraczek. Widno monopolka mu poszkodziła. Bo od niedzieli to on trzeźwy nie był. Majster bardzo rozsierzdzony. Krzyczy na nas — „Kmioty proklate! Chamy ciemne! Ile razy to ja wam mówił, żeby monopolki na puste brzuchko nie pić. Tlustym boczkim radził zagryzać. Nie posłuchała rad moich ciemna masa! A teraz kłopot.”

Przestępujem my z nogi na nogie. Szapki w rękach miętosim. Wstydno nam niewymownie.

Milicjonierzy przyjechali. Rozpytuja, coś tam mierzo. Na koniec Józika na nosilkach zabierają.

Jakub Anatema

SŁOMIANOŚĆ

HENRYK przyjrzał się sobie w lustrze. Wszystko zadowalało go i przyprawiało w nastrój silnej i rzeczywiste optymisteycznej postawy. Na dworze parowało od słońca, które już od dłuższego czasu opuściło swój zaulek za horyzontem i wędrowało teraz mechanicznie, rytmem obojętności.

Z ocienioną słomkowym kapeluszem twarzą-cieniem, Henryk mościł poszczególne fazy swojego ruchu na kwadraturę płyt chodnika — stale białego od promieniowania.

I wtedy spotkał Azalię. Ich cienie stanęły naprzeciwko siebie w zadumie zadziwiającej harmonii. Azalia także nie miała twarzy. Był tam tylko kapeluszy cień, również ze słomy.

Henryk pierwszy raz zerwał cień ze swojej twarzy. Brunatna splekota położyła się lepko na jej pospolitości, odzierając ostatnie resztki tajemnicy.

Cień Azalii odwrócił się i energicznie zaczął swoje przekradanie się z jednej na drugą i następną płytę chodnika. Oślepiony Henryk próbował plakać, ale szybko zrozumiał, że w takim upale i tak wszystko wyparuje. Cień kapelusza znowu ułożył się na jego głowie a cień nóg rozpoczął na nowo przerwany proces spacerowania w południe.

Na jesiennych schodach Henryk pozostawił swój cień i nawet klucz w

drzwiach nie miał żadnej barwy ani kontrastu.

Parząc herbatę w popielatym czajniku nie miał czasu na myślenie. Wszystko rozpuszczało się w parowaniu wody i drganiu powietrza, ale w samym kącie pokoju obok kapiącego parasola leżał cierpliwie i nieśmiało słomkowy kapeluszek.

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

PIĘTNASTEGO STYCZNIA 1977 NAD JEZIOREM BIAŁYM ANDRZEJ, KAZIK, MARIAN, WOJTEK, WITEK

Baran na różnie gorzałka u płota
Kac na biegunach kiro łaski pełna
Nie drzyjcie się tak do diabła
Pogiuszycie ryby

Pięciu przyjaciół stół zaciśnie spójnie
Rozlewają tak gęsto że lez nie więcej u wdowy
Suchość poranna wodochcac wyschła woda w jeziorze
Boże Boże artyści przyjechali

Znany piosenkarz
Nieznany poeta
Nieznany rzeźbiarz
Nieznany malarz
Ojciec nieznany

Na różnie baran gorzałka na stole
Piją i drą się aż strach zwiał z konopi
Szedł drogą Hiszpan gaduła bezzębny
Butelkom odjął wódkę krowom mleko zagadał

Zasiądź z nami Hiszpanie i milcz jeśli łaska
A wy moi przyjaciele rozlejcie w kielichy
Trzeba już w miasto wracać i szukać posady
Malarzu za piątkę poeta za dychę



Kolumny srodagowali: Zbigniew W. Fronczek, Bogusław Wróblewski, Stanisław Zurek. Adres dla korespondencji: 20-078 Lublin, ul. I Armii Wojska Polskiego 3. Komisja Kultury ZW ZSMP.

Saper z Jedlanki

(2)

Alojzy Sroga

W poprzednim numerze zamieściliśmy pierwszą część relacji Alojzego Srogi o saperze Mieczysławie Kasperczuku, rodem z Jedlanki Starej. Doszliśmy do momentu, kiedy Kasperczuk składa przysięgę. Teraz autor opisuje jego dalsze przeżycia wojenne.

Niejeden żołnierz z 2 brygady saperów przypomniał mi ważny dlań fakt:

— Na polach, czy raczej błoniach Różanki naszą przysięgę przyjmował sam generał Berling.

Jego nazwisko już wtedy otaczała mgielka legendy. Przed nim dwa uniesione w górę palce.

„Przysięgam uroczyście skrwawionej Ziemi Polskiej i Narodowi Polskiemu...”

Wraz z całą pierwszą kompanią, 24 batalionem i krótko mówiąc całą 2 brygadą saperów, pojechał Mieczysław Kasperczuk, już pełnoprawny żołnierz, zaprzysiężony — na front. Aż do Rembertowa — po ciągiem. Było to coś niezwykłego w tym jesiennym, surowym pejzażu, pejzażu okrutnego prymitywu, zniszczenia: jadący pociąg. To w listopadzie.

Potem przemieścili się do Choszczówki, Pludów, Wiśniewa.

Znajomy piechurom teren. Porośnięty rachitycznymi laskami, nafaszerowany minami, okaleczony resztkami torów kolejowych, porzuty przez Niemców specjalnymi pługami. Saperzy stanęli obok kompanii karnej.

— Musieliśmy walcować się z nimi — kwituje Kasperczuk.

— Walcować? Znaczą co — bić?

— E, nie. Było i tak, że gdy oni szli na zadanie, na Wisłę, to od nas chłopaki rozgradzali przejścia.

Osmego stycznia 1945 roku przychodził rozkaz o nowym ich zadaniu. Na razie — marsz. W kierunku przyczółka warecko-magnuszewskiego, gdzie Pilica wpada do Wisły. Gdzie w minionym sierpniu i wrześniu bój toczyli pancerniacy, trauguttowcy i dąbrowszczacy. W ogólnym planie natarcia na Warszawę — 2 brygadzie saperów wyznaczono zadanie pilotowania przeprawy przez lód piechurów i artylerzystów.

Szli z Wiśniewa, Pludów, Choszczówki przez Bródno, Radość i Całowanie. Zapamiętany przez Kasperczuka drobiaż, pozornie nie ważny.

Mrozisko dobierał się przez drelichowe mundury i nienajgrubsze płaszcze aż do szpiku kostnego. Na którymś z postojów, gdy saperzy weszli do przydrożnego domu, kolega omal nie wiał w komin. Ogrzał się i... spalił czapkę.

Ileż takich nieważnych drobiażków pozostało w żołnierskiej pa-

mięci. Ale dla piechucha był to wtedy dramat — jakże iść w mróz, w wielogodzinne dreptanie przez lasy z gołą głową? Na szczęście, tuż przed wymarszem spod Warszawy, do ofensywy styczniowej, wydano w oddziałach pewną ilość tak zwanych kominiarek, szczelnie okrywających głowę i część twarzy. Może życzliwy kolega użyczył „pogorzalcowi” owej kominiarki? Tęgo już pamięć nie zanotowała.

Noce, energiczne, rozgrzewające krew zajęcia z szesnastego na siedemnastego stycznia. Przeszli już artylerzyści. Saperzy czują w rękach i w nogach wykonaną pracę.

Pora i im — w drogę. Także pieczo, choć niekiedy naigrawali się z piechurów, jako sławnych zajądów. A oni co, na helikopterach zblizali się do Warszawy?

Przeszli przez Górę Kalwarię. Kierunek — Piaseczno.

— Jakoś tak na zakręcie był majątek. Tu trochę się przespaliśmy. I znów — głód, głód. Dziewczyna w tym domu przygrzewała sobie kluski. Bardzo miałem na nie ochotę. Ale ona, to powiedziała, też już długo nic nie jadła. Oblizalem się na widok klusków. Dawno ich nie próbowałem. Miałem kartofle, ugotowałem, oszukałem głód. Pamiętam jednak, pamiętam te niezjedzone kluski. [...]

— I stamtąd już poszliśmy prosto do Warszawy. Wyszliśmy w okolicach Belwederu, Placu Unii Lubelskiej. Zapamiętałem nasz pierwszy warszawski dom, w którym stanęliśmy. Ulica Litewska 14. Na piętrze. Potem — Litewska 23. I tak oto wkroczył Mieczysław Kasperczuk wraz z całą brygadą w —

CZAS WARSZAWSKI

Jedno z pierwszych ich zadań, to dokładne zbadanie budynku zajmowanego podczas okupacji przez gestapo. Aleja Szucha. Przepatrują każdy kąt i zakątek. Piętra i piwnice. Nie ma min. Ponieważ się mnóstwo amunicji, różnych kalibrów. Zbierają ją pracowicie.

Sąsiednie gmachy. Jakby promienie saperzy oddalają się od swojej siedziby przy ulicy Litewskiej. Dalej i dalej. Pojawiają się ich tabliczki: „Min nie ma”.

Przy placu Unii Lubelskiej — codziennie różne spotkania. Tu z brygady dostarczają im gazety. Tu

przychodzą cywile — z każdym dniem ich więcej — żądni wiedzy o współczesnym, wojennym świecie. Tu — magnesem bywa saperska kuchnia. Dają gorącą zupę...

I kompania kapitana Mikołaja Babalina, radzieckiego oficera, który bez mała dwadzieścia lat temu kończył szkołę oficerską, przesuwa się w kierunku ulicy Rakowieckiej. Więzienie — całe. W jego sąsiedztwie kamienica grożąca zawaleniem. Przygotowują się do jej wysadzenia. Przyszedł kpt. Babalin sprawdzić robotę swoich podwładnych. Trzech saperów starannie przygotowało się do wysadzenia niebezpiecznej budowli.

— Ładno! — pochwalili chłopców dowódcą.

Kiedy już jednak jarzącymi papierosami zapalili sznur Bickforda, a ogienek zaczął pełzać ku kamienicy, kapitan przypomniał sobie, że przy niej, lub w niej zostawił rękawiczki.

— Nowe rękawice! — pokłwał głową z żalem.

— To co, nie wysadzać? — spytał poważnie Kasperczuk.

Babalin roześmiał się, machnął ręką.

— Wysadzać! A rękawice szkoda.

Posypały się gruzy. Nie jedyne w warszawskiej służbie saperów. Zostawił taki kikut, a zaraz zjawia się tam cywile, uwija gniazda i — będą ginąć w wolnej już przeciw Warszawie. Penetrują więc chłopcy Mokotów, wydobywają miny na Starym Mieście. Od 18 stycznia do 8 marca. Oficjalnie — do 8 marca. Tę datę wymienia Kasperczuk, ją wspominają saperskie dokumenty. A przecież jeszcze i po ósmym marca 2 brygada saperów pozostawała w stolicy, na zawsze, swoich żołnierzach.

— W Warszawie zginęli moi koledzy: Józef Pajdasz i Stanisław Dąbrowski. Stasiek pochodził z Makoszy. Zginął na minie gdzieś na Powiślu.

Saperska „Księga poległych na Polu Chwały” datę śmierci Dąbrowskiego podaje 7 lutego 1945, natomiast kaprala Józefa Pajdasza na 26 marca. Nie na ósmym więc marca zakończyła się służba brygady, która tu zdobywała miano „warszawskiej”.

Po 8 marca w stolicy pozostał 26 batalion saperów, trzy pozostałe z brygady — 24, 27 i 29 — w dniu 13 marca przystąpiły do rozminowania przyczółka sandomierskiego.

CZAS KIELECKI

— Trzy razy tam byłem. Za pierwszym razem najkrócej, w marcu czterdziestego piątego. Zaraz nas z powrotem ściągnięto, stawiać most na Pilicy w Białobrzegach. My bu-

dowaliśmy od strony Warszawy, a 29 batalion od strony Radomia. Kto szybciej... My byliśmy pierwsi. W ciągu dnia wbijaliśmy po pięć pali w dno rzeki. Tak, ręczną babą. To taki gruby pień, z kablakami do trzymania. Są i mechaniczne baby, my mieliśmy tylko ręczne. Sami sobie zrobiliśmy. Na początku, jak nas pięciu uchwyciło i uderzyło babą w pal — to i metr się od razu zagłębił. Potem jednak, już każdy centymetr był problemem. Kapitan Babalin znalazł i na to radę. Przed uderzeniem krzyknął „śmierć frycom!” Wie pan, jakby rzeczywiście pomagało, jakby trochę mocniejsze było to nasze uderzenie baby... Tak, był ze mną Stasiek Bzoma. To zresztą ciekawe, bo w brygadzie Bzomów i to z naszych stron było bodaj z dziesięciu. Nie pamiętam, co Stasiek wtedy robił przy moście, ale byliśmy razem. Dziesięć dni budowaliśmy ten most. Wreszcie — gotów.

Powrócili do brygady, w rejon Ostrowca Świętokrzyskiego. Długie tygodnie sprawdzania miasta, fabryk, a potem okolicznych wsi. Tu już potrzebna nie siła do baby. Łączy się dobre oko, cierpliwość, spokojny chwyt przy wydobywaniu miny.

Trzykroć operował w tym rejonie Mieczysław Kasperczuk — Zawichost, Kunów, Dwikozy, Waśniów, Łagów i dziesiątki innych wsi, nie zawsze zapamiętanych z nazwy.

Za każdym razem — wiosną, a potem latem i jesienią, wreszcie w następnym roku wydawało się, że wydobyto już z potwornie nafaszerowanej ziemi wszystko żelastwo nazdane trotylem. Za każdym nawrotem, obojętnie jak się zwal: rozminowanie, czy kontrola rozminowania, wydobywano z ziemi czarna, przekłętą i złośliwą śmierć. Coraz jej więcej w postaci zardzewiałej. Z każdym miesiącem i rokiem bardziej niebezpieczna.

Przyczółek sandomierski. O rodnej ziemi, o sadowniczej tradycji, przepiękny zazwyczaj turystyczny zakątek, opiewany przez najtęższych ludzi polskiego pobra.

W te jednak wiosenne i letnie dni — napawał ciągłe strachem. Oto pod Zawichostem wieś, w której żyje z dziesięć osób ze świeżymi i trwałymi okaleczeniami od min. Nie należeli do próbujących zabawy z minami. Wrócili na ojcowską z wielomiesięcznego wysiedlenia. Domy i gospodarskie zabudowania starte na ogół z powierzchni ziemi. Powracający próbowali wgrzać się w ziemię, na starym siedlisku, kopać ziemniaki. Przy tych gospodarskich zajęciach, przy obchodzeniu działki tracili nogi, w innym wypadku ręce, niekiedy — oko.

Jakże nie zaciskać miał zębów polski chłop, tyle że z sąsiedniego województwa patrzący na mękę współbraci i siostr. Jakże nie iść — dzień w dzień — z długim wykrywaczem min, popularnym „szczupem” i nie kłuć, nie dzłobać bez mała metr przy metrze, by wydobywać czające się, milczące niebezpieczeństwo.

Szedł Kasperczuk, szły setki innych saperów.

Rano, do tej najczarniejszej roboty kroczył milczący, poważny, skupiony. Po południu zaś...

— Mieszkańcy wsi już wiedzieli, jak nam się powiodło. Jeśli wracaliśmy ze śpiewem, znaczy wszyscy zdrowi. Jeśli milczeliśmy, a głowy mieliśmy spuszczone do ziemi, to już wiadano — znów był wypadek.

Znów...

— Co dwa — trzy dni, zwłaszcza w okresie początkowym coś się niedobrego zdarzało. Ginęli chłopcy, albo odnosili rany. W kwietniu poległo dwóch bliskich kolegów — Cap i Pasicki. Koło Nowej Stupi. Natknęli się na te długie miny RMI. Z zapalnikami po bokach. Układali je na stosie. Jeszcze nie wiedzieli oni, nie wiedzieliśmy i my, że z tym rodzajem min obchodzić się trzeba szczególnie ostrożnie, że rozrywa się je na miejscu. Oni układali je w stos. Chcieli pewnie wszystkie razem je rozzerwać. Wy-

Dokończenie na str. 12



Zdjęcie archiwalne

Saper z Jedlanki

Dokończenie ze str. 11

buchły bez dodatkowego impulsu. Pewnie pod własnym ciężarem. Może gdzieś zawlecza była wyciągnięta... Znaleźliśmy tylko sprzączki od pasów i kawalki skóry po kole-gach. Pochowaliśmy ich w Waśniowie na cmentarzu.

Z przyzwyczajenia sprawdzam w saperskiej Księdze Poległych. Saper Władysław Cap zginął 17 kwietnia 1945 roku. Skojarzenie — to drugi dzień naszej ostatniej ofensywy zza Odry. Nie trzeba było pełzać po polach Brandenburgii. Na ojczyźnie, kieleckiej ziemi także zabijały pociski i miny hitlerowskie. Przy Czesławie Pasićkim — datę śmierci podano 18 kwietnia 1945. W którymś miejscu jest pomyłka w dacie. Obaj zginęli tego samego dnia.

Potem majowa śmierć. Szczególnie tragiczna. Saperzy tej nocy postawili w stan najbardziej radosnego alarmu miasteczko Kunów. Znieśli zaciemnienie. Koniec! Koniec wojny! Były strzały na wiwat, plany na przyszłość, radość i całowanie się.

I tego dnia ginie pod Radomiem, w trakcie rozminowywania, kolega z sąsiedztwa, z Ostrowa Lubelskiego — Czesław Łupkowski. Nie dla wszystkich ów pokoju dzień pierwszy, był zaiste dniem spokoju.

Kto wie, czy miał złe przeczucia, niedobre myśli saper Łupkowski, gdy ruszał tego dnia do pracy.

— Gdzieś człowiek źle się czuł fizycznie, albo psychicznie wystarczyło, że powiedział o tym swemu dowódcy. Nie musiał tłumaczyć, dlaczego źle się czuje. Nasi dowódcy natychmiast zwalniali takiego żołnierza od roboty na ten dzień. Ale nie każdy przyznawał się do niedobrych myśli.

— Wierzyliście przeczuciom? — pytam Kasperczuka wprost namiętnie, bo ja swoje obie frontowe rany przeczulem niby zwierzę, na dzień — dwa wcześniej. Coś w nas atawistycznego zapewne zostało. Wyzywamy niebezpieczeństwo grożące mnie i tylko mnie...

— Niech się pan nie śmieje — uprzedza mnie Mieczysław, bo nie wypowiadam na głos tej myśli wyłożonej przed chwilą na piśmie.

— Nie śmieję się, też wierzę...

— Widzi pan, chyba koło Winiar zdarzyło się kiedyś, kiedyś mieli iść do roboty, że nad polem krążyły mięsożerne ptaki. Jastrzębie, wrony... Trzynastoletni chłopak, cywilny, mówi do nas: „nie idźcie, będzie wypadek”. „Co on tam pieprzył” — osadził go ktoś zdrowo. Chłopak — swoje. Poszliśmy do roboty. Był wypadek. I wie pan, od tego czasu obserwowaliśmy pole przed wyjściem na rozminowanie. Niestety, potwierdzało się. Ptaki wcześniej przeczuyały, że coś będzie... Może śmieszne. Nam się to, niestety, zawsze sprawdzało. Już nikt nie mówił, że chłopak pieprzył... Już to stało się naszym saperskim uczeniem, przesądem, jak kto chce... Wie pan, że potem i radzieccy instruktorzy, którzy wtedy z nami byli przy chłopaku, potwierdzili prawdziwość tej historii... To prawda, w gorączce, w napięciu czasem zapomniało się o ptakach. Człowiek musiał iść.

— Przed chwilą mówił pan, że gdy ktoś się źle czuł, to nie musiał.

— Nie musiał. Ale tu taka historia. Był razem ze mną Józek Czeszej z Lomnicy, tej włodawskiej. Poderwał się na minie. Leży, jęczy. Urwało mu nogę. Poszedłem mu na pomoc, ale rozumnie. Oczyszczałem drogę do niego z min, żeby samemu się nie poderwać. Szybko, ale jednocześnie, żeby było pewnie... A inny kolega, sanitariusz, Opaliński, to pamiętam, gwałt na Czeszeja wprost przez pole minowe. Musieliśmy go zdrowo opieprzyć. „Cheesz i ty...” No to widzi pan, czy można było w takiej sytuacji pamiętać, że ptaki rano krążyły nad polem mi-

nowym, jakby nad pobojuwiskiem? Wracam na sekundę do zachowania się Władysława Opalińskiego. Ze nie patrzył na niebezpieczeństwo, śpieszył wykonać swój obowiązek. Można zapomnieć i o minach...

Potakiwanie głową. — Tak, kolega szedł koledze z pomocą. Ale wie pan, że czasem i bardziej doświadczonemu jakby odbierało rozum. Był u nas plutonowy. Doświadczony saper. Bardziej niż my. I oto co on robi. Szczup, im dłuższy tym bezpieczniejszy. Cztery, pięć metrów... Sami robiliśmy z jakichś tyczek. Do tego drut na koniec i już jest najprostszyszy wykrywacz min. Prawda, że taki długi był mniej poręczny. Krótszy — wygodniejszy, ale i niebezpieczniejszy. I właśnie ten plutonowy złamał szczup. Za długi — powiada. Zostawił ze dwa metry. Na trzeci dzień — stracił oko. Szczup był za krótki, wybuch nastąpił tak blisko. Zdawało się, doświadczony żołnierz...

Leciutki uśmiech na twarzy Kasperczuka.

— Ze szczupami różnie bywało. Koledze, a powiem jego nazwisko, nie strasznego — Jankowi Swobodzie — rozerwała się kiedyś mina właśnie na szczupie. Rzucił go, zaczął uciekać. Przebiegli ze sto metrów. Zatrzymał się. I... sprawdza, czy ma nogi. „Toż człowieku, na nich uciekasz” — koledzy w śmiech. Ale rozumiem go. Człowiek był w szoku. Dla nas było śmieszne. On potem też się z tego śmiał...

— Dzisiaj to i ja spokojnie mogę mówić o swojej przygodzie. Wykonując kiedyś krok do tyłu nadepnąłem na przeciwplechotną, drewnianą minę. Powinna się zamknąć i... rozerwać mnie. Tymczasem ona otworzyła się. Podała mi się jak na tacy... To była chwila dobrego strachu. Albo taka historia Tadka Kunaszuka z Tyśmienicy. Pisarza z naszej kompanii. Nie było jego obowiązkiem chodzić na rozminowanie. Poszedł. I butem rozgniół trotyl w minie! Też musiała być otworzona. Nie mu się nie stało.

Już co nieco słyszałem o różnych chytreńskich pomysłach, które rodziły się wśród saperów. Ktoś wynalazł specjalną mackę, gdzie indziej samorodni „saperzy” podpalali pozycje pół, co nawet po latach trafiło do komediowego filmu. Jak oni, w 2 brygadzie saperów ułatwili sobie pracę? Próbowali w ogóle?

— Owszem. I myśmy podpalali trawę, taką wybujałą, suchą. Wybuchaly miny. Ale nie wszystkie. I tak ze szczupem trzeba było iść, kontrolować. Ktoś wpadł też na inny pomysł. Wziął z dawnego majątku wał, wie pan, do wałowania pół. Literalnie porwało go na kilku minach. Fakt, zdetonowały, ale i po wale. Więc tyczka była najpewniejszym środkiem. Oczywiście, używaliśmy do wyciągania kotwiczki, drutów. Jedną minę wyjmowało się grzeźnie z ziemi, spokojnie wykrecalo zapalnik i po kłopcie. Do innej, zarazy, ani podejść.

— Dużo w ciągu dnia można było rozminować?

— Początkowo były jakieś normy dziennego rozminowania. Spieszili się chłopcy i wtedy było najwięcej wypadków. Potem normy zniesiono...

— Wprowadzono, zgodnie z rozkazem po 50 groszy za minę, od tysiąca sztuk w górę...

— Tak, płacono, ja też trochę forsy zagarnąłem. Ale jeszcze o tym, ile można było rozminować. Jak natknęliśmy się na takie pole, które było minowane w ziemi, w śniegu — to i dwieście sztuk tych zaraz zdjęło się szybko. Podane, jak na talerzu, tylko zbieraj. A innym razem, chodzisz szukasz godzinę, drugą i nie ma nic. A wiesz, że powinna być... Z tym ułatwianiem, o co pan pytał, to bywało różnie. Nie każdy prosty sposób jest dobry...

— Jak w życiu...

— Ano. W Waśniowie, o którym już mówiłem, sąsiedni pluton chciał sobie ułatwić pracę. Co będziemy gdzieś tam daleko odnosić zardzewiałe draństwo. Tu rozerwiemy. Tu,

znaczy koło chłopskiego zabudowania. Zaczęli rwać. Znalazł się w tym stosiku pocisk zapalający. Eksplozował na dachu stodoły. Dom — ocalał, ale stodoła i obora poszły z dymem. No próbowałem i ja ratować ten chłopski dobytek... Strasznie było głupio nam wszystkim. Najbardziej tym, co przepisów nie przestrzegali, chcieli mieć łatwe życie. Pomogliśmy później rolnikowi w odbudowie... Dowództwo postarało się o materiały, a myśmy zrobili wszystko jak należy... Wie pan, zaprzyjaźniłem się na ogół z ludźmi w tych wsiach, gdzie pracowaliśmy. Et, co wspominać, co było niedobre. Śpiewali, na początku śpiewali brzydkie piosenki o nas. Ze to niby my nie Wojsko Polskie, bo byli ruscy oficerowie. Potem przestali. Bo to i zabawy wspólne, a i gorzalka wespółna się trafiła — właśnie za te pieniądze, co je otrzymywaliśmy za miny — i najważniejsze: widzieli naszą robotę. Za trzecim razem pobytu na przyczółku sandomierskim staliśmy z drużyną w Dwikozach. Ja u rolnika Brody. Była tam babcia. Bardzo ją lubiliśmy. Jakże ona płakała po nas, kiedy już całkiem odchodziliśmy. Przyzwyczajali się ludzie do nas. Przyzwyciali z nami kłopoty i radości... Ot, Wladek Cichocki, syn gajowego z Sobiboru, tu koło Włodawy, pojechał jakoś tak w żniwa na dziesięciodniowy urlop. Był kapralem. Trochę mu zazdrościliśmy, ale wszyscy byli ciekawi, jakie też wiadomości przywiezie z naszych stron. Bardzo na niego czekaliśmy. Wrócił. Wesoły, zadowolony, no i masz pan — na drugi dzień urwało mu nogę. Jak tu nie przeżywać, jak tu nie rozmyślać... Albo taka siurpryza. Boże Narodzenie. Dużo chłopaków pojechało na urlop. Nas zostało kilku. Ludzie idą na Pasterkę, a nas zerwano ze snu i dalej — walczyć w Sandomierzu z krą, co zagraża mostowi. Ludzie przy świątecznych stołach, a my wracamy mokrzy, na ostatnich nogach. Pewnie, poczęstowali, wypili dał. I litowali się — „biedni, wy biedni chłopcy, całą noc i cały dzień tak z tą krą...”

I jeszcze z tego czasu kieleckiego zapamiętane dwa fakty. Śmierć kaprała Franciszka Zyski — 4 maja 1946 roku od kilku odłamków, które poszły w pierś.

— Męczył się. Podłożył sobie niemiecki granat, żeby skończyć z sobą. Granat nie wybuchł. Umarł bez niego. Młody ładny, czarny chłopak. To już sama końcówka naszego rozminowania.

A drugi fakt — to wyjazd do Radomia, gdzie Kasperczuka dekorowano Brązowym Krzyżem Zasługi. Już wtedy był w czółwce brygady. Z innej okazji, 25 stycznia 1947 roku, zdobywający powszechną popularność tygodnik „Przekrój” prezentował na drugiej stronie sapersa Kasperczyka. (Tak, z błędem wydrukowano jego nazwisko). „Po lewej — pisano — starszy saper Kasperczyk sam jeden rozładował 24 000 min”.

— Dwadzieścia cztery? — pytam — W wykazie rekordzistów mam przy panu liczbę 14 205. Która liczba jest prawdziwa?

— Niech pan pisze tę mniejszą. Zawsze będzie bliższa prawdy. Wie pan, jak to redaktorom podają... — jakby się ugryzł w język, przypomniał sobie o moim zawodzie.

Roześmiałem się.

— A naprawdę — ile?

— Chyba pośrodku. Ale pan niech pisze czternaście tysięcy.

No więc piszę: „tylko” czternaście tysięcy razy mógł się pomylić saper Mieczysław Kasperczuk. „Tylko”.

CZAS RATOWANIA MOSTÓW

Już tylko z pozostałych gazet i z pamięci ludzi wtedy zaangażowanych wydobywa się dramatyzm pierwszych miesięcy roku 1947. Z gór szła duża zimowa fala wody, niosąca ogromną krę. Cóż, nie pierwszy, nie ostatni raz takim dobrodziejstwem obdarzała i obdarza nas matka rzek polskich. Dramatyzm owego roku polegał na tym, że wie-

le mostów — łącznie z podwarszawskimi — było drewnianych, i takich — ich filary. Uderzenie wielkiej masy kry lamalo podstawy mostów na podobieństwo zapalki w rękę człowieka. Ubytek zaś każdego mostu oznaczał dla okolicy istną klęskę. Ogromne objazdy, zerwanie nici gospodarczych na długi okres z sąsiednim rejonem przez rzekę.

Tedy w stan alarmu postawiono — znów: nie pierwszy i nie ostatni raz — przede wszystkim saperów. Mniej tam było jeszcze inżynierskości, więcej — prostej saperskiej roboty. Łódka, worki z piaskiem, czasem ładunek materiałów wybuchowych do rozszarpania kry. To ci do ręki dajemy, a ty, bracie saperze, wykaz cały swój kunszt i niszc, tym razem nie miny, jeno wodę zamienioną w stałą postać. Niszc, ratuj mosty i ludzi. Nie pozwól, by rozlały się na okolice wody, nie mające przepływu przez zwałowisko kry.

Poszedł więc i Mieczysław Kasperczuk. Już jego kolegów zwalniano. Do domów. Do cywila. Brzęczały natrętnie w uszach słowa popularnej piosenki, trawestowanej na wszelkie sposoby, że... „do cywila wnet pójdziemy”. Zapelowano do grupy odchodzących. Wy, najstarszy rocznik, najbardziej doświadczeni. Czy ktoś z was zeżechce zostać? Sytuacja jest trudna. Dramatyczna.

Kasperczuk został. O całe dwa tygodnie później zjawiał się w Jedlance Starej, niż koledzy z sąsiedztwa, z tej samej brygady, z tego samego wrześniowego poboru roku 1944. Kasperczuk walczył z powodzią. Z tej to właśnie okazji trafił na łamy „Przekroju”.

Walkę z żywiołem toczyli w Kazuniu i Leoncinie, Rybitwach i Piotrkowie...

— Z piekarni tylko komin było widać. Dokoła wszystko zalane wodą. Ludzi wywoziliśmy nie puszczałymi dalej wody, próbowaliśmy zagonić ją w koryto.

Nowy dowódca batalionu, major Waclaw Boguszewski, gdy patrzył na swoich podwładnych, którzy już ileś dni nie myli się, choć ustawicznie mieli do czynienia z wodą, kolejną dobę nie zmrzyli oka, pod ciężarem worków zgarbili się na podobieństwo zmęczonych życiem starców, nogami z trudem powłóczyli, by ich rozruszać, dodać życia, nazywał ich głośno i pieszczotliwie: och, wy moje aniołki afrykańskie.

— Dlaczego afrykańskie? — nie rozumiem dowcipu, zapewne sytuacyjnego.

— Bo byliśmy czarni jak Murzyni — objaśnia ze spokojem Kasperczuk. — Ale to było naprawdę bardzo żartobliwe. Krzywy był ten nasz uśmiech, ale zawsze... A woda ciągle szła przez szosę. Chyba tak z siedem, dziesięć dni. Saperzy to już nawet i na drzewach nocowali. Wdrapało się na wierzbę i czekało — podejście do mnie woda, czy nie podejście...

To już jednak momenty najbardziej krytyczne i chwilowej także żołnierskiej bezradności. Bo cały czas — ruch, tempo i szybciej, szybciej...

Aż znów przestał samotnie sterczeć komin piekarni, aż znów drogi stawały się suche, a zafrasowani rolnicy spoglądali na łki zalane piachem i błotem, dumając kiedy to wyjdą krowy na trawę...

Odwolywano alarm przeciwpowodziowy. Saperzy mogli wracać do koszar. Do nielicznych kolegów, którzy tu zostali. Gorzkie spotkanie.

Gdy oni, większość, ratowali mosty na Wiśle, toczyli wyczerpujące boje z wodą, zalewającą wsie, ta sama fala zaatakowała ich koszarę i przyległe wojskowe osiedle. Nieliczni pozostali na miejscu żołnierze pośpieszyli na ratunek mieszkańcom wojskowej kolonii. Woda sięgała już pierwszego piętra domów. Wywróciła się przeciężona łódź. Utoneło dwóch saperów. Przypomina ich tablica, znajdująca się w osiedlu.

Nie tylko więc w akcji, z dala od koszar, saperzy płacili życiem. I w pozornie bezpiecznym terenie też.

Minęło już wszelkie niebezpieczeństwo. Życie zaczynało wracać do owej powojennej normy.

Mieczysław Kasperczuk mógł wracać do domu, do rodzinnej Jedlanki.

Alojzy Sroga

ROCZNICA czechowiczowska wsparta publikowanymi przez Wydawnictwo Lubelskie, długo oczekiwany dramata Czechowicza dała sposobność do refleksji nad całością twórczości tego poety, nad jego miejscem w tradycji literackiej. Władysław Zawistowski („Fakty 79”, 1.IX.1979 r.) mówi, że Czechowicz wprowadził w sztuce literatury, ale daleko mu do pozycji Peipera, Przybosa, czy Skamandrytów. Jest to prawdziwość. Peiper i Przybós wojnę przeżyli, a trzej z „wielkiej piątki” Skamandra byli czynni po wojnie w kraju. Czechowicz nie. To się liczy. Fizyczna obecność poety dla popularyzacji jego poezji ma znaczenie. Ponadto w recepcji Czechowicza nastąpiła długa przerwa, ponieważ poezja katastrofy bezsilny, resentymenty w okresie odbudowy nie mogła liczyć na polityczny i czytelniczy debiut. Na koniec najważniejsze: architektoniczna poezja awangardy krakowskiej miała naśladowców, nawet dzisiejszy kanon mimo sprzeciwów można uznać za jej przedłużenie, Czechowicz zaś uczniów nie miał nigdy. Dajmy młodemu poecie zadanie: napisać pastisz Przybosa i Czechowicza. Który wyjdzie? Ten pierwszy. Drugi będzie dziesiątą wodą po „nucie człowieczej”.

Innego spojrzenia wymagają dramaty. Słusznie Zawistowski mówi, że zdarzenie jest w nich zastąpione dyskursem, a obraz słowem, skutkiem czego nie mogą zwrócić na siebie uwagi praktyków teatru. Dramaty są oceniane z pełnią rewerencji dla autora wierszy, poszukuje się dla nich określeń retorycznie elastycznych, jeśli nie wręcz eufemistycznych, tymczasem wypada powiedzieć wyraźnie, że są niedobre. Teatr w nich jest zepchnięty na drugi plan na rzecz monologu lirycznego, monolog liryczny nie może się w pełni rozwinąć hamowany wymaganiami sceny. Zawodniaki przed wojną oceniając ujemnie „Czasu jutrzejszego” wystawione przez Horzycę w wieczorne trzech jednoaktówek (jeszcze Norwid i Rittner) wcale Czechowiczowi nie wyrządził krzywdy. Opinia teatralna przedstawienie przyjęła kwaśno. I bardzo dobrze! Bo to znaczy, że Czechowicz był przyjmowany zgodnie z rodzajem i stopniem swoich osiągnięć, a nie na zasadzie towarzyskiego konwenansu, który każe miłeć, gdy nie można wyrazić się pochlebnie. Znacząca, że wysoka ocena dana Czechowiczowskiej poezji wynikała z przekonania, a nie z grzeczności.

Inna rzecz to kwestia, dlaczego w ogóle Czechowicz pisał dramaty. Czyżby liryką nie wypowiadał się w pełni? Czyżby miał poczucie niedosytu?

Nie musimy aż tak krańcowo tłumaczyć tego faktu. Ogródek obok pola to częsta praktyka pisarska. Tuwim ułożył słownik pijacki, Leśmian pisał dla dzieci, krytyk, tłumacz i publicysta Boy angażował się w wyczyny „Zielonego balonika”. Czechowicz postać dramatyczną mógł widzieć jako naturalną, boczną linię swojej poezji. Tym bardziej, że wewnętrzne napięcie jest zasadniczą cechą jego wiersza. Iana rzecz, że wydobyte na zewnątrz, zauto-

lecz jako zapowiedź znaczenia. Wojna je przetrwała, ale okres bezpośrednio powojenny całkowicie pograżył. To, co miało być terenem wzrostu, stało się wyjątkową depresją. Pozostało oczekiwanie. I doczekanie się przyniosło tylko ten rezultat, że oddaliło tę poezję na odległość nieczytelności.

Można powiedzieć, że istnieje niejaki kłopot. Całkowicie przemilczać Czechowicza nie sposób, umieścić go w panteonie wielkich popularnych te-

W KRAJOBRAZIE SŁÓW

Co oficjalne, co poetyckie

Zygmunt Mikulski

nomizowane, nie obroniło się samo, a wsparcie liryką oddało mu niedźwiedzia przysługę; usunęło na plan dalszy, skoro pierwszy zawsze zajmowała bezpośrednia wypowiedź osobista.

Przy czym nie możemy zapominać o zasadniczym: Czechowicz jest dziś nieczytelny. Istnieje paru poetów-klasyków, jak Staff, Wierzyński, Jasnorzewska-Pawlikowska, którzy świecili się czują na półce bibliotecznego, w przeddziele historii zjawisk literackich, w szkolnej lekturze obowiązkowej. Czechowicz nie istnieje inaczej niż jako żywy. Kiedy znikła psychiczna i wszelka inna rzeczywistość warunkująca jego poezję, nie można mówić o jej pełnym oddziaływaniu. Pozostał głos, znikła akustyka. Dlatego — z pewnością zabrzmi to dziwnie ze strony miłośnika jego poezji — jest wątpliwe, czy warto rocznicowo ewokować tę twórczość, skoro przywoła się ją w rozmiarze zmniejszonym. Czechowicz absolutnie nie nadaje się na temat seminarium. Właśnie on. Bak, Libert, Ciesielczuk — bez obawy o zatarcie niuansów można o nich mówić głośno i często. O poezji napisanej szeptem, tylko szeptem da się mówić.

Dziwnie i niesprawiedliwie. Na dobrą sprawę rok 1939, aczkolwiek wyniósł już autora „ballady z tamtej strony”, nie był traktowany jako apogeum,

nie. Jego nakłady, jak zresztą wszystkie, są rozkupowane. To cieszy i dezorientuje. Dezorientuje, bo jest odbierany z pobrzą swego znaczenia, na zasadzie poszanowania rangi, nie dla wartości, które są w stanie wejść w powszechną orbitę czytelniczą. Kupuje się książki nie poezje.

Tak więc w jakiegokolwiek publikacji spotkać wymienione nazwiska Czechowicza to staną wobec zjawiska dość sztucznego. Jak usłyszeć utwór muzyczny, który nie zdobył zbyt wielu zwolenników, ale który od czasu do czasu musiał być wykonany ze względu na potrzebę zachowania pewnej noblności. Leśmian i Przybós mieli swoje numery „Poezji”, mają swoją pozycję zastrzeżoną w instancjach krytyczno-literackich, zagwarantowany obszar na mapie czytelniczych zainteresowań. Czechowicz był indywidualnością nie mniej oryginalną, jednak podobne rewerencje nie zostały mu przyznane. Czy — miłośnik tej poezji — piszę o tym z żalem? Bynajmniej. Piszę dla podkreślenia różnic we właściwościach odbioru, dla ukazania dysproporcji zachodzących między charakterami epok. Mówi się o Czechowicu jako o wybitnym poecie? Mówi się. A jednocześnie industrializacja współczesnego świata, przeobrażenia społeczne i obyczajowe, a nawet — to nie przypadkowy wtęt-

— wynaturzenie środowiska naturalnego odbierają Czechowiczowi akustykę. Do kogo dziś trafi wierszyk, w którym jest mowa o kijance (ba, kto zna ten wyraz)? O ligawce? O chustach rozwieszonych na płocie? Czechowicz w świadomości literackiej utrzymywany jest co najmniej na podobieństwo twórcy ludowego, tyle że przyznaje mu się wybitny i oryginalny talent na miejsce zdolności naśladowania poetyk anachronicznych. Czy dzisiejszemu czytelnikowi przybliży Czechowicza jego katastrofizm? Owszem, zasadniczą cechą neuro-psychiczną współczesnego człowieka, jak wykazują ankiety i sondaż, jest ostry stan niezadowolony ze świata. Jakże to jednak cechy różnej! Tam — poczucie tragizmu istnienia wrosnięte w sam rdzeń świadomości — tu — wisielcze samopoczucie kogoś, komu się nie po myśli układają okoliczności życiowe, wśród których znajdzie się i utrata zagranicznego stypendium i brak awansu na stanowisko ustępującego dyrektora i wpadka w komorze celnej. Więc i z tej strony Czechowicz nie przystaje do dnia dzisiejszego. A pominąć nie można, bo za duży talent. Powołuje się więc coś jakby poetycką cepelką, która ma dostarczać produktów tego autorstwa przeznaczonych do dystrybucji w wiadomym odbiorczym kluczu.

A już absolutną niedorzecznością jest wpisywanie tego nazwiska i tej problematyki w kompozycję aktualnych sytuacji literackich. Oto jednego z poetów twórczo satysfakcjonuje fakt, że wyraz „rozkład” może oznaczać zarówno „kodeks”, jak i „rozpad”, a „jazda” zarówno „podróż” jak i „kawalerię”, skutkiem czego pisze „Rozkład jazdy”, nad którym czkają z zachwytem formalizujący krytycy. Oto inny poeta do znudzenia obraca w kółko swoje psalmy i swoją wizję wsi anachroniczną, utkaną z obrazków niewiele oddalonych od zasady kiczu. Oto w dyskusjach nieustannie persewerowana „generacja” rozmnożona do liczebności potomstwa komara. Wkrótce dla „generacji” zabraknie kalendarza. Jak w to wszystko wstawić Czechowicza? Do jakiej „generacji” należał? A Zegadłowicz? A Karpiński? Na ówczesne zjawiska nakładać dzisiejszą siałkę pojęć to malować Madagaskar na Morzu Martwym.

Istnieje kilku twórców, o których się mówi, że życie im wyrządziło krzywdę, bo przeżyli swoją własną twórczość. Céline, Perse, a przede wszystkim Hamsun. Bomba spadła 9 września 1939 roku, okrutnie to zrzędnienie losu, ale przynajmniej równoległość między życiem a twórczością została zachowana.

Okna - lica sztuki - ki

Hamlet polny i inni

PISANIE o twórczości Dudy-Gracza z pozycji krytyki sztuki wydaje się być czynnością bezpotrzebną. Będąc szczerym, jakby naiwnym sympatykiem jego malarstwa, nie potrafię dodać nic nowego do tych pochwalnych opinii, które na łamach prasy czy przy pomocy taśmy filmowej sformułował inni. Dostrzegając zresztą, że jak Duda-Gracz łączy tradycyjną formułę malarstwa, opartą w istotnym stopniu na ubiegłowiecznym realizmie i nowszym ekspresjonizmie, z rozwiązaniami, które można by określić prowincjonalnym pop-artem lub sztambuchowym kolażem — jakoś nie mam ochoty na dobieranie się do tych obrazów za pomocą analizy formalnej, tym bardziej, że mogłaby ona, obawiam się, wykazać pewne braki w sferze oryginalności autorskich przedsięwzięć twórcy „Pamiętki z sanatorium”. Nie widzę też powodu, aby werbalizować, interpretować, rozwarstwiać i

bóg jeden wie jeszcze, co robić z treścią obrazów 24-letniego Dudy-Gracza. Są to bowiem treści wystarczająco czytelne dla każdego współczesnego Polaka, poruszające się po świecie nawet niezbyt uważnie, nawet z nonszalancją, która umożliwiła mu uznanie siebie samego za pepek kosmosu. Czy wymaga dodatkowych wyjaśnień bezpardonowa kawalkada obrazowa trzech tęczy pracowników fizycznych, którzy pędzą, zapewne po godzinach etatowej pracy, aby dorobić przy pomocy betoniarce i tak są szczerzy w tym swoim, zrozumiałym przecież, wysiłku, że mimowolnie ustawiają się jako ta trójka rączych rumaków z obrazu wybitnego naszego realisty, żyjącego w minionym stuleciu, a nawet jeszcze dłużej, który w 1881 roku namalował rzecz kompozycyjnie podobną pt. „Czwórka”? Chelmońskiego ludzie znają ze szkół i muzeów, fuche — z własnego doświadczenia, więc wszystko jest jasne (a przy tym dobrze namalowane).

Metodyczna sekcja na twórczość Dudy-Gracza jest zatem zbyteczna — także i przede wszystkim dlatego, że malarstwo wykładowcy krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych należy bardziej do życia naszego powszedniego, niż do sztuki, która od dawna i z uporem usiłuje stworzyć własny, wewnętrzny system wartości, co owszem, wydaje się zrozumiałe i potrzebne, ale w pewnych granicach. Stwierdzając ową zależność nie usiłuję przecież przyrównać oczu na fakt, że autor błędnie „Pamiętki z sanatorium” wyraźnie troszczy się o jakość swojego warsztatu malarskiego, że poświęca na każdym kroku własną orientację w problematyce sztuki dawnej i — nazwijmy to tak — nowoczesnej, że taka a nie inna stylizacja kreuje świadomie. Takie kwestie obchodzi jednak tylko krytyków i artystów, natomiast publiczność masowa bez reakcji zaakceptowała twórczość Dudy-Gracza dla tematyki i treści jego obrazów, a wszelkie wspomniane subtelności mało ją chyba obchodzi.

Dla tych znawców, którzy chętnieby całkowicie wmanewrować sztuce w obszar kultury intelektualnej, sytuacja Dudy-Gracza godna jest ubolewania i lekceważenia. Tymczasem katowicki artysta może odnotować na swoim koncie to, co stało się udziałem nielicznych doprawda malarzy dzisiejszych: faktyczna obecność swojej twórczości w kulturze Polski współczesnej, kultury poljowanej jako system symboli i innych znaków, organizujących zbiorową wyobraźnię, zachowania i poglądy. Malarstwo Dudy-Gracza jest znane i dyskutowane w różnych środowiskach społecznych (o czym świadczy m.in. liczne wołanie do „księgi pamiętkowej” jego wystaw), a tytuły niektórych obrazów weszły do potocznego języka; sam słyszałem opinie: „Z niego to taki Hamlet polny”, sformułowana w intencji pobłażliwie-ironicznej.



„Dół” — olej, Duda-Gracz

Fot. Małgorzata Apathy

ironia, złożliwość, deformacja rzeczywistości, jej obniżanie — takimi właśnie słowami określa się najczęściej sens obrazów Dudy-Gracza. Można je ustawić w innej kolejności, na pierwsze miejsce wprowadzając słowo ostatnie tego rejestru, udzielając wielu najtrafniej oddających treść autorskiego przesłania. Rzeczywiście: „Dół”, „Jeźdźcy Apokalipsy czyli Fucha”, „Niedziela” to ostro zarysowane portrety fragmentów świata, w którym żyjemy, uczestniczymy i który, niestety, sami stwarzamy po drodze do lepszego jutra. Działaczom od kultury warto przy tym polecić dokładne obejrzenie „Koncertu”, olejnego obrazu przedstawiającego wielce zadowolonego z siebie i dobrze odżywionego skrzyśka — reprezentanta altruistycznych środowisk artystycznych — oraz człowieka z brązy budowlanej,

który rękując w pokorze na upojne dźwięki uśmiecha się jednak jakob dwuznacznie.

Gdybym miał krótko odpowiedzieć na pytanie, dlaczego lubimy Dudy-Gracza: dlatego, że ostry widzenie różnych spraw nasza codziennoci przyprawia ironią, a nawet humorem okrutnym, na co nie zawsze możemy sobie pozwolić, związani np. tzw. dobrymi manierami czy układami, albo zwyčajnym tchórzostwem.

IJK

KRONIKA KULTURALNA

● 1 października w Lublinie z udziałem i sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka odbyła się centralna inauguracja roku akademickiego. Gospodarzem uroczystości była pierwsza w Polsce Ludowej uczelnia: Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, który 23 bm. obchodzi 35-lecie istnienia.

● Rozpoczął się nowy rok działalności kulturalnej na Lubelszczyźnie. Podczas uroczystości otwarto park etnograficzny Muzeum Wsi Lubelskiej, uruchomiony w rekordowym tempie około trzech lat i będący dwudziestą z kolei placówką tego typu w kraju. Wręczono także miejskie i wojewódzkie nagrody za osiągnięcia w pracy kulturalnej. Jedną z nagród wojewódzkich otrzymał Ryszard Królkowski, dyrektor MWL. Serdecznie gratulujemy.

● Kilka dni później, 2 października, Muzeum Wsi Lubelskiej jako współorganizator imprez podejmowało kilkudziesięciu uczestników międzynarodowej konferencji skansenowskiej, przybyłych do Lublina (później do Ciechanowca) z różnych ośrodków kraju i z Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, NRD, Szwecji, RFN, Belgii, Norwegii, Francji. Jeden z referatów wygłosił konsultant naukowy lubelskiego skansenu, prof. dr Roman Reinfuss.

● Znany poeta ludowy z regionu hrubieszowskiego, Stanisław Budzyński, obchodzi 50-lecie pracy twórczej. Jubilatowi, którego wiersze mieliśmy satysfakcję wielokrotnie publikować, życzymy zdrowia i nieustającej weny twórczej.

● Zamość z rozmachem przygotowuje się do swego 400-lecia. Obok spraw „sadniczych” (renowacja Starego Miasta, nowe inwestycje) miasto rozwija „kontekst symboliczny” przedsięwzięcia, finansując stosowne publikacje książkowe i albumowe, medale i okolicznościowe druki projektowane przez wybitnych artystów krajowych.

● Ponad 20 tys. osób zwiedziło wystawę dokumentów zbrodni hitlerowskich, urządzoną przez koło ZBoWiD nr 13 i Komitet Samorządu Mieszkańców LSM w Klubie MPIK przy ul. Leonarda w Lublinie. Pokazano 800 eksponatów.

● Z okazji V Tygodnia Archiwów Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Lublinie zorganizowało sesję naukową i wystawę dokumentów z okresu PKWN.

● Na zaproszenie Zespołu Tańca Ludowego UMCS przebywała w Lublinie grupa folklorystyczna Cantarini Paloritani z Messyny na Sycylii. Zespół powstał w 1935 roku wśród studentów tamtejszego uniwersytetu i do dziś zachował charakter akademicki i amatorski. Brawo!

● Natomiast Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej przebywał dwa tygodnie we Francji, występując i szkoląc tamtejszych pasjonatów polskich tańców ludowych.

● W Białej Podlaskiej otwarto Klub MPIK, usytuowany w cen-

trum miasta i posiadający kawiarnię, czytelnię, salę spotkań i płytotekę. Planuje się ponadto urządzenie laboratorium do nauki języków obcych.

● Przy końcu września zakończył się VII ogólnopolski plener malarski w Kazimierzu, w którym uczestniczyło 15 artystów z kraju i zagranicy: z Czechosłowacji, Hiszpanii i Węgier. Około 40 prac powstałych na plenerze wystawiono w Domu Kultury.

● „Postacie naleczowskie w rzeźbie” to tytuł ekspozycji, która otwarto w Pałacu Malachowskich.

● Także chmielarze doczekali się swoich wizerunków rzeźbiarskich. Wykonane w drewnie, stoją na skwerach osiedli mieszkaniowych Krasnegostawu.

● Natomiast w dzielnicy uniwersyteckiej Lublina ulokowano postumenty z popiersiami kilku naukowców i działaczy, szczególnie zasłużonych dla UMCS.

● Waldemar Stępień slegnął do własnego archiwum fotograficznego, wyjmując stamtąd i ekspozując publicznie całkiem interesujące zdjęcia osób i obiektów Wydziału Prawa UMCS, gdzie autor niegdyś studiował. Wystawa czynna była we wrześniu w lubelskim WDK.

● Wśród licznych wystaw plastycznych urządzonych ostatnio w Lublinie na szczególną uwagę zasługuje plenerowy pokaz rzeźb Bogdana Markowskiego, zainaugurowany 4 października na dziedzińcu Zamku — Muzeum Okręgowego. Do twórczości artysty powrócimy na naszych łamach.

● Niewiarygodne powodzenie miał w Lublinie film „Przemienie z wiatrem”, który na życzenie widzów nie mogących otrzymać biletów na normalne seanse, wyświetlono na dodatkowym pokazie: o godz. 4 rano!

Ulvaeus piszącej razem od 1965 roku. Niebagatelną rolę odgrywa wycieczka zapotrzebowana młodego słuchacza na piosenkę melodyjną, umiejętnie doprawioną soft-rockiem oraz autentyczny talent obu muzyków. Ogromne zasługi w sukcesy Abby położył genialny reżyser dźwięku Michael Tretow, którego pomysły nagraniowe zapewniły grupie ów charakterystyczny sound.

ABBA, nie tracąca z pola widzenia rynku estradowego i stale ujawniająca jakieś nowe szlagiery, to całe przedsiębiorstwo rozrywkowe, obracające dochodami większymi niż sławna firma samochodowa Volvo.

Wszystko wskazuje na to, że ABBA dorówna legendzie Beatlesów. W przeciągu 5 lat (debiut — 6 kwietnia 1974 roku w Brighton na Festiwalu Eurovizji) obrotni Szwedzi potrafili sprzedać 30 milionów płyt ze swymi nagraniami. Takim sukcesem handlowym może się pochwalić niewielu artystów. Abba firmuje czwórka wokalistów, ale stoi za nią ogromny sztab ludzi organizujący nie tylko stronę techniczną przedsięwzięcia, ale także towarzyszący w częstych nagraniach i trasach koncertowych (choć tych z reguły grupa unika). Mimo że skład sidemanów bywa dość płynny, ustalili się już krąg muzyków towarzyszących w nagraniach firmy ABBA. Na gitarach grają zwiery: Björn Ulvaeus, Janne Schaffer, Anders Glenmar i Finn Sjöberg. Gitara basowa to domena Rutgera Gunnarsona i Mike'a Watsona. Na perkusji grają na zmianę: Roger Palm i Ola Brunkert, zaś instrumenty perkusyjne pozostają w zasługu Malando Gassamy. Instrumentami klawiszowymi, w tym również syntezatorami, zajmuje się szef muzyczny całości Benny Andersson. Na trące gra najchętniej Bruno Glenmark, a na saksofonach Lasse Carlsson i Ulf Andersson. Spiewają głównie Agneta i Frida, wspomaganie przez swych partnerów. Znakomite przeboje z ostatniego longplaya — „Chiquitita”, „As Good As New”, „Does Your Mother Know” czy tytułowy „Voulez Vous” przypominają, że ABBA wciąż zaskakuje.

jest chyba nader wymowna. Przy czym warto dodać, że ambicje zespołu sięgają daleko dalej. Udało się mu wejść na hermetyczny rynek amerykański, a nawet podbić serca publiczności na Antypodach — w Australii i w Nowej Zelandii. Gigantyczne tournée odbyte w 1976 roku stało się kanwą pierwszego obrazu muzycznego kwartetu, a zarazem jego wielkim sukcesem artystycznym i finansowym. Film „ABBA-The Movie” oglądaliśmy także na ekranach lubelskich kin.

Bardzo często zdarza się, że opieranie repertuaru na twórczości tej samej spółki autorskiej doprowadza w końcu do wyjąłowania nadmiernej eksploatacji pomysłów, a co za tym idzie do zubażania treści wypowiedzi. Przykład ABBA, w której od początku istnienia zespołu tworzą Benny Andersson i Björn Ulvaeus jest chyba wyjątkiem in plus. Słuchając wszystkich sześciu albumów grupy odnajdujemy wprawdzie to charakterystyczne brzmienie stanowiące jakby jej wizytówkę, a jednak utwory różnią się, i to znacznie. W zasadzie każdy nowy krążek przynosi nowe pomysły melodyczne i nowe rozwiązania aranżacyjno-brzmieniowe, czym nie mogą pochwalić się wykonawcy spod znaku disco (choćby podziwiana przez młodych Pierwsza Dama Piosenki Miłosnej — Donna Summer). Tajemnicą tkwi chyba w świetnym zgraniu pary autorskiej Andersson-



Nowa fala polskiego kina

STWORZONY swego czasu przez krytyka filmowego „Kultury”, Janusza Kijowskiego, termin „kino moralnego niepokoju” dla określenia twórczości grupy młodych reżyserów podejmujących — nierzadko w sposób kontrowersyjny, ale też zawsze gorąco zaangażowany — problemy naszej współczesności, zyskał ostateczne potwierdzenie i udokumentowanie podczas tegorocznego, wrześniowego, 6 Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku. Obejrzelśmy tam 30 filmów powstałych w Zespołach Filmowych w minionym sezonie (23 w przeglądzie konkursowym, a 7 w sekcji informacyjnej) stworzonych przez różnych wiekiem reżyserów, reprezentujących różne gatunki filmowe; w sposób zdecydowany określiła jednak festiwal grupa filmów młodych i najmłodszych naszych twórców. Właśnie tych, reprezentujących „kino moralnego niepokoju”.

Zapowiadane od pewnego czasu młode kino polskie zdołało się wyartykułować, bardzo szybko okrzepnąć i zdobyć sobie widzów. Filmy Krzysztofa Kieślowskiego, Feliksa Falka — nie mówiąc już o starszym od nich Krzysztofie Zanussi — oraz debiutujących w tym roku w długim metrażu: Janusza Kijowskiego, Agnieszki Holland, Wojciecha Marczewskiego, Edwarda Zebrowskiego, Filipa Bajona i Piotra Andrejewa zaskakują zarówno wagą podejmowanej problematyki jak i doskonałością artystycznego warsztatu. A przecież za nimi stoją jeszcze liczni reżyserzy zgrupowani w Kole Młodych Stowarzyszenia Filmowców Polskich, którzy kręcąc dla telewizji czy też pracując w krótkim metrażu przygotowują się intensywnie do „pełnometrażowej fabuły”. Tej ostatecznej nobilitacji w zawodzie reżysera filmowego.

Andrzej Wajda, prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich, twierdzi, że to dopiero początek młodego pokolenia kina i zapowiada prawdziwy jego sukces — w roku przyszłym. Tym lepiej. W każdym razie już w chwili obecnej widać wyraźnie, że po latach artystycznej nijakości mamy oto do czynienia z wyraźną, nową falą polskiego kina, pierwszą tego wymiaru od czasów „szkoły polskiej”.

Festiwal w Gdańsku był zarazem swoistym ostrzeżeniem dla polskiego środowiska filmowego: właśnie w czasie zmasowanego, szerokiego przeglądu całorocznej produkcji, nie tylko widzowie mogli porównać „młodych” ze „starymi”, ale przede wszystkim sami reżyserzy — także ci z bardzo istotnym dorobkiem artystycznym — musieli dostrzec z jak poważnym przeciwnikiem mają do czynienia. Młodzi dystansują wielu z nich, już dzisiaj, sprawnością warsztatową, dynamizmem, znajomością nowego światowego kina, umiejętnością prowadzenia aktora i, co tu ukrywać, po prostu... talentem.

Lecz pamiętajmy też, że „nowa fala” nie jest całkowicie spójna i monolityczna.

Określenie się jednostki wobec świata i wobec społeczeństwa, poszukiwanie prawdy, celu życia człowieka, ciągła penetracja ludzkich postaw moralnych, charakteryzuje „artystyczne” (nawiasem mówiąc, z zaskakującą wysoką kulturą i dojrzałością robione) filmy Edwarda Zebrowskiego („Szpital przemienia”), Filipa Bajona („Aria dla atlety”), Wojciecha Marczewskiego („Zmory”). To samo przecież można powiedzieć o bardziej dokładnie umiejscowionych pod względem czasu i miejsca filmach Krzysztofa Kieślowskiego („Amator”), Janusza Kijowskiego („Kung fu”), Feliksa Falka („Szansa”) czy Agnieszki Holland („Aktorzy prowincjonalni”), charakteryzujących się jednak zarazem bardziej ostrym polemicznym temperamentem.

Wymieniłem na początku nazwisko Krzysztofa Kieślowskiego nie tylko ze względu na fakt, że jego film otrzymał Grand Prix gdańskiego festiwalu (kolejny sukces tego reżysera po niedawnej czołowej nagrodzie na festiwalu w Moskwie) i nie tylko dlatego, że w obrębie „kina moralnego niepokoju” dzieła Kieślowskiego charakteryzuje największa dojrzałość, ale przede wszystkim z uwagi na to, że był on — jak przypomniał Krzysztof Kłopotowski w ostatnim wrześniowym numerze „Literatury” — prekursorem tego młodego nurtu. Przy okazji warto zacytować wnikliwą uwagę Kłopotowskiego o twórczości Kieślowskiego: „... stanowi (on) psychologiczną zagadkę. Kipiąc w objęciu temperamentem, w kinie o rzeczach doniosłych mówi językiem powściągliwym. Dowodzi to dyscypliny godnej zawodnika karate, który potrafi skupiając siły przebić mur kantem dłoni. Na ten wspaniały cios trzeba nam jeszcze poczekać. Bardzo dojrzały artystycznie, i obsypywany nagrodami „Amator” wydaje się bowiem nieco pozabawiony pasji”.

W sumie młoda fala odcina się wyraźnie na powierzchni polskiego kina. Warto będzie o niej dyskutować, poczekajmy jednak aż dotrze — oby jak najszybciej — na ekrany naszych kin.

M. D.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

Kamena str. 14

PRZED 75 LATY

Miejscowi kapitaliści noszą się z zamiarem nabycia dziesięciu samojazdów, które mają kursować pomiędzy Lublinem a Warszawą. Drogę te samojazdy mają przebywać w przeciągu czterech godzin, opłata zaś za przejazd w jedną stronę wynosić ma dwa ruble od osoby. Przedsiębiorcy trafnie przypuszczają, że przy takich warunkach nie zabraknie chętnych korzystania z usług samojazdów.

Nie po raz pierwszy ludzie patrzący i podejmujący pracę dla przyszłości, poruszali sprawę wydzignięcia wód mineralnych Sławinka z ich vegetacyjnego stanu i stworzenia zakładu kąpielowego podnoszącego bogactwo kraju — Lublina zaś i jego okolic w szczególności. O wartości leczniczej wód sławinkowskich, jako już dawno przesądzonej, zamieścił, za to zwrócić przede wszystkim uwagę na wyjątkowo szczęśliwe geograficzne położenie miejscowości. Z facji takiego Sławinek posiada charakter

podwójny i jest wsią, a może być uważany jednocześnie za przedmieście dużego, bo 60 000 tysięcy mieszkańców liczącego miasta. O pięknym i malowniczym położeniu, ze wzgórzami i doliną, stawem, rzeką i lasami, mówić nie będę, bo wszyscy je znamy, zaznaczą tylko i przypomnieć tym wszystkim, co zwiedzali różne budy zagranicze, niech sobie w myśli wyobrażają część urzędów — jakie widywali — przeniesionych do naszego Sławinka, a z pewnością zgodzą się, że w tak pięknych ramach jakimi natura obdarzyła nasze źródła, można stworzyć niezmiernie uroczą i przyjemną miejscowość. Urządzenie na Sławinku zakładu wód mineralnych, odpowiadającego wymaganiom nowoczesnym, zdaniem moim jest przede wszystkim sprawą obchodzącą mieszkańców Lublina, gdyż oni to w pierwszej linii ciągnąć będą większe lub mniejsze zyski.

„Gazeta Lubelska”

PRZED 50 LATY

W dzisiejszych czasach, kiedy po całej kuli ziemskiej, rozbrzmiewa hasło sport, higiena i jeszcze raz higiena, bo-

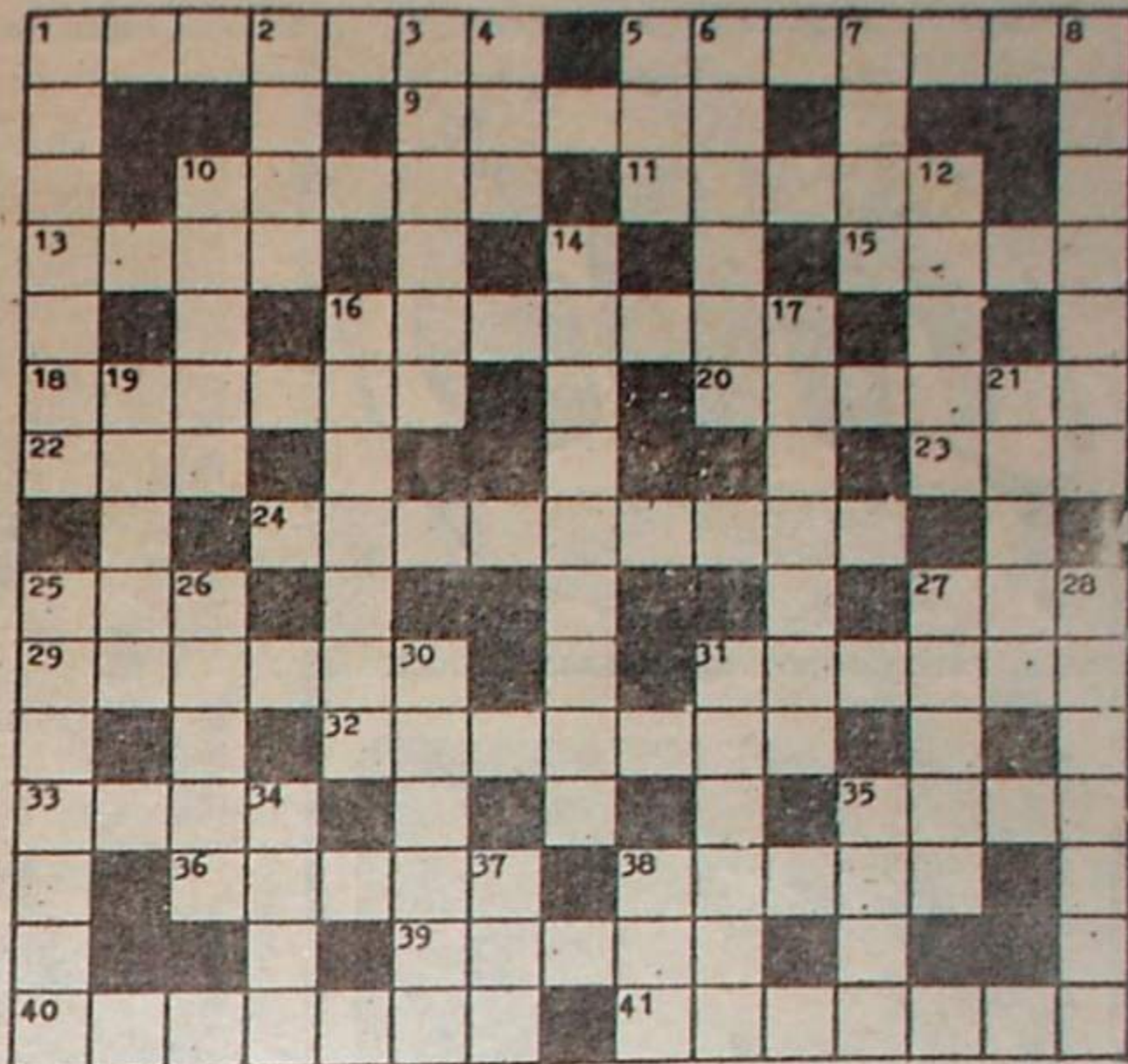
dajże jeden tylko Lublin niezmordowanie stara się udowodnić światu, że on nie uznaje i nie chce żyć pod znakiem higieny. Władze wydają rozporządzenie np. o czystości w sklepach spożywczych. Pewne artykuły powinny być w szklonych zdrowotnych znajdować się pod osłoną kloszów. Tymczasem wchodzi sobie do takiej „kolonijki” z zamiarem kupna sera. Patrzy i debije. Biały ser udekorowały muchy tak gęsto, że zdaje się bardziej nakrapiany od muchomora. Oczywiście sera nie kupuje, prosi o kwaszone ogórki. Usłużna ręka właściciela sklepu zanurza się w szklanym słoju niemal po łokieć. Wyciągnęty ogórek toczy się na ziemię, właścicielka nie zdumuchawszy z kurzu i śmiecia, które oblepiły nieszczęsny produkt, wrzuca go z powrotem do słoja, a młde podaje inny. Czas byłoby z tym skończyć narzecz. Sa to może drobne usterki, w porównaniu ze stosowaniem higieny w innych dziedzinach w Lublinie, ale należałoby zacząć od takich drobnych na pozór, drażniących niezmiernie uchybień.

„Głos Lubelski”

Wybrała Anna Orzechowska

KRZYŻÓWKA

(nr 21)



Poziomo: 1. współorganizator i I sekretarz PPR w czasie okupacji, 5. opowiadana scenka, 9. drzące drzewo, 10. dawne ciepłe okrycie, 11. szczyt i hala w Tatrach zach., 13. umożliwiają zakup droższych rzeczy, 15. kłoda, 16. dęty instrument stroikowy, 18. krasnoludek, 20. odrobina wody lub innego płynu, 22. zwierzę domowe, 23. dopływ Wisły, 24. niedawno zmarły nestor kompozytorów polskich, 25. pierwszy dramaturg używający polskiego języka, 27. drażniący leśny, 29. Indianin z dorzecza Orinoko i Amazonki, 31. najbliższy wstępny, 32. środek usypiający lub znieczulający, 33. czar, 35. wielki obszar porośnięty trawą, 38. pręty żelazne w palenisku, 38. człowiek nadęty uważający się za wszechwładnego, 39. arka, 40. słynny dyrygent pochodzenia ormiańskiego, 41. związek chemiczny używany do czyszczenia metali przed lutowaniem.

Pionowo: 1. prysznic, 2. służa do parzenia, 3. metal do bomby przeciwnowotworowej, 4. kasliwy owad, 5. dwadzieścia jeden, 6. zwyczaj z noweli Sienkiewicza, 7. napój alkoholowy z ryżu i trzciny cukrowej, 8. ładownia luznika, 10. początek blegu, 12. tabliczka drewniana z tytułem filmu i numerem ujęcia, 14. pisarz lubelski, współtwórca „Reflektora”, 15. drzewo parkowe kwitnące w okresie matur, 17. napęd pojazdów, 19. konieczny do kiszzenia ogórków, 21. ciegła, 25. pomoc w nagłym wypadku, 26. drzewo liściaste, pod którym stoi dziewczyna, 27. spis osób, 28. człowiek wątpiący o wszystkim, 30. lata nad stawem, 31. przystrojenie, 34. kadź, wielka beczka, 35. rzeka na Rostoczu przepływająca przez Górecko, 37. dźwięk, 38. głos męski.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozdajemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 19

Poziomo: Gorki, sport, laweta, facina, marzec, taktyka, akta, kondycja, Skopiec, Suza, kustosz, Aspazja, knot, Olimpia, opretka, cena, arkebuz, wigwam, eleaci, czekan, kacyk, piasek.

Pionowo: kiomb, Twardowski, Galczyński, ruczaj, piekło, Rudy, Natasza, czarzaf, kaseton, Kasprowicz, Irzykowski, akrobata, znaczek, pobory, parafa, gmina, Kuba.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr

19 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Stanisława Szymkiewicz 20-425 Lublin, Kwiatowa 17/12, Zofia Piasecka 20-419 Lublin, 1 Maja 37/4, Jerzy Łopuszyński 20-494 Lublin, Matejki 3, Halina Jaworska 20-809 Lublin, Pana Tadeusza 12/83.

POCZTA literacka



S. A. Modliborzyce. Te wiersze przekopują. Pod warstwą słów da się odczytać twarz autora. Tylko brak im czegoś, co nazwałbym ełanem poetyckim. Rozmachem poetyckim. Są pisane jakby z tłumikiem. Czuję się, że autora stać na więcej, niż otrzymujemy. Jednakże zbyt często daje się zauważyć uleganie (jakby dla świętego spokoju) manierze stylistycznej, nakazującej łamanie wiersu w miejscu składniowo nieodpowiednim. A swoją drogą ciekaw jestem, co skłoniło Pana do ujęcia pióra poetyckiego przy tak fortunnym pierwszych krokach na niwie dramatopisarstwa.

Z. J. Gliwice. Nie chcę dawać odpowiedzi wymijającej, więc powiem wyraźnie, że w nadesłanym wierszu znajduję wiele zgrzytów. Chciałbym odnieść inne wrażenie, ale samo ucho na to się nie zgadza. Wszelako — muszę użyć tego wyrażenia — ni stąd ni zowąd trafia się tu i ówdzie powiedzenie czyste, wolne od obciążenia banałem i przejętymi ze zdawkowych lektur konwencjonalnościami. Chciałbym wierszy, że nie jest to dziełem przypadku. Ale za jedno należy się Panu zdecydowana wymówka: albo pisze Pan na maszynie, albo daje czytelny rękopis. Nad tym, co otrzymałem, musiałem spędzić wiele chwil wyjątkowej pracy odszyfrowującej.

R. G. Warszawa. Ten tekst z trudem można by uznać za literacki. Fakt, że realia w nim są nienaruszone nie podnosi jego wartości. Jako dokument autentyczny powinien znaleźć miejsce w jakiejś bibliotece, albo archiwum, natomiast szereg wyartystycznych i powiedzeń, niezależnie od tego, że poprawnych stylistycznie i gramatycznie, dyskwalifikuje go w kwestii dźwięku w piśmie literackim. Nie wiem, czy autentyczny stał się hamulec dla literackiego ujęcia? Nie przypuszczam. Rzeczywistość jest na tyle bogata, że nie wymaga upiększeń ani uzupełnień, by być ciekawą. Proponowałbym ten tekst opracować jeszcze raz pod kątem nadania mu większej ekspresyjności emocjonalnej. To fakt, że szewc niechętnie robi dwa razy jedną parę butów, ale... Tym razem reguła może zaowocować korzystnym wyjątkiem.

F. T. Zamość. Nadestanie wiersze są bardzo — powiedziałbym — ruchliwe, zaferowane, robia wokół siebie sporo ożywienia. Ale przy bliższej lekturze okazuje się, że ta żywiołowość nie znajduje uzasadnienia w ich znaczeniu. Oferuje towar ponad jego wartość. Mam nadzieję, że nie obraził się Pan z powodu tych słów. Chcę powiedzieć, że pisze Pan cokolwiek zbyt „beztrosko”, „euforycznie”, w tych tekstach brak skupienia, które jest konieczne dla dobra wiersza. Posłuchajmy, co na ten temat mówi Lechoń.

„Wokół tyle trwogi i troski tak liczne, ale ty się nie buntuj przeciw przeczuciu. Spokojnie pisz do końca swe wiersze klasyczne, które wtedy są dobre, gdy cierpią w milczeniu”.
Tak. Zamknięć, by następnie tym dobitnie powiedzieć. Myślę, że zasada wynikająca z wyznania wybitnego poety okaże się Panu pomocna.

W. G. Lublin. Otrzymałem przesyłkę trochę za małą jak na próbkę zdolna zorientować o własnościach tych utworów, ale jeśli Panu zależy na mojej opinii, przekazuję swoje wrażenie z lektury już tej partii. Otóż uważam, że za mało „wysusza”. Pan swoje wiersze, od emocjonalna. Owszem, już Peiper nakazywał „wstydlivość uczuć”, ale po pierwsze — jego praktyka bynajmniej nie jest argumentem na rzecz głoszonych przez ten teoretycznych, a po drugie — wiersz nie może składać się z samych konstatacji intelektualnych. Moim zdaniem poeci — intelektualści to poeci niższego lotu, powinni pozostać przy esaju, z którego zazwyczaj wywodzi się ich nieuzasadniona skłonność do pisania poetyckiego. Proszę mi uwierzyć znacznie trudniej mówić o uczuciu nie popadając w miłośność niż wypowiadać myśli trafne, ale nie angażujące odbiorcę czytelnika.

C. J. Końskowola. Z duża satysfakcją przeczytałem te utwory. Satysfakcja własna. Czy to dziwi? Redakcyjny recenzent to nie komputer do oceniania wierszy, ale też człowiek. Jest w tym wierszach wiele prawdy ludzkiej i poetyckiej, wiele dobrego da się o nich powiedzieć. Maja tylko jeden niedostatek: nie wnoszą niczego do dzisiejszej polemiki o styl, o język, o konwencje, która to polemika nie uwidoczniła oddzielnych publikacji krytycznymi, toczy się jednak w warstwie poetyckich realizacji. To im nie odbiera oddziaływanie na czytelnika, ale odsuwa je od możliwości dźwięku. W każdym razie zapewniam, że chętnie jeszcze coś takiego przeczytam.

S. K. Zamość — R. Z. Janów Lubelski, C. K. Stalowa Wola, R. O. Kielce, Z. G. Końskie — nie skorzystamy.



KONSERWOWAĆ ŚW. KRZYSZTOFA

W nr 17 „Kamienicy” z 19 sierpnia br. redakcja zamieściła list p. Doroty Kłosowskiej z Warszawy, zawierający spostrzeżenia autorki dotyczące stanu zachowania dekoracji fasad kamienicy Przybyłowskich w Kazimierzu Dolnym. Uznając trafność tych spostrzeżeń Muzeum Kazimierza Dolnego, pełniące funkcję konserwatora zabytków m. Kazimierza Dolnego, czuje się w obowiązku przedstawienia aktualnych problemów związanych z konserwacją kamienicy Przybyłowskich.

W ub. roku ukończony został remont i konserwacja elewacji kamienicy Celejowskiej przy ul. Senatorskiej 11 w Kazimierzu. Prace konserwatorskie rozpoczęte w 1973 r. trwały 5 lat z uwagi na szereg skomplikowanych problemów ikonograficznych, z których wiele wynikało w czasie konserwacji. W obecnym roku okazało się, że niektóre elementy elewacji wymagają poprawek, które zostaną wykonane w 1980 r. Skoncentrowanie się na konserwacji kamienicy Celejowskiej, przy braku specjalistów w tej dziedzinie, uniemożliwiło równoległe podjęcie prac przy kamienicach Przybyłowskich. Zrealizowano jednak wiele prac przygotowawczych, poprzedzających roboty konserwatorskie. Wykonane zostały inwentaryzacje fotografometryczne i fotograficzne, przeprowadzono z podnośnika wstępne oględziny stanu zachowania elewacji kamienicy, w trakcie opracowywania jest zlecone przez Muzeum Oddziałowi Lubelskiemu PKZ studium naukowo-historyczne oraz z wytycznymi konserwatorskimi. W 1980 r. Muzeum

przewiduje postawienie specjalnych rusztowań dla przeprowadzenia badań architektonicznych i na istnienie polichromii, a także opracowanie programu prac konserwatorskich.

Rozpoczęcie właściwych prac konserwatorskich powinno nastąpić w 1981 r., o ile Muzeum uda się znaleźć wykonawcę o odpowiednich kwalifikacjach. Z uwagi na zakres prac i wyjątkową rangę artystyczną i historyczną kamienicy Przybyłowskich przewiduje się, że prace konserwatorskie potrwać ok. 5 lat.

Dyrektor Muzeum mgr Jerzy Żurawski

BUBEL

Z wydawniczym bublek tym razem wysłała do Klientów Krajowa Agencja Wydawnicza. Wydała ona bowiem kartkę pocztową w 10 tysięcy egzemplarzy, popularną i widowiskową, na której dwaj autorzy zdjęcia (chyba jeden robił zdjęcie, a drugi nosił aparat), pp. A. Johann i A. Zborski, przedstawiają budynek kina „Stylowy” w Zamościu. Nie było w tym dziełku, gdyżby nie podpis na odwrocie kartki pocztowej. Autorzy zdjęcia autorytatywnie stwierdzają, że sfotografowali „Kino „Stylowy” w dawnej renesansowej bożnicy”.

Panowie autorzy, budynek ten nigdy funkcji bożnicy nie spełniał, i renesansowym nie był. Wystarczyło zapytać na ulicy pierwszego lepszego przechodnia czy uczeń szkoły podstawowej, a powiedzieliby panom, co i jaki obiekt fotografujecie. Budynek, któremu zmienił się historyk, pełnił zupełnie inną funkcję. Wzniesiony w stylu barokowym, był kościołem oo Franciszkanów, a następnie — od czasów rozbioru — magazynem, koszarami wojsk rosyjskich, a w okresie międzywojennym mieścił dom ludowy, teatr, kino i wiele organizacji społecznych. Mówi o tym wyraźnie m. in. „Przewodnik po Zamościu i okolicy” Mariana Pleszki z 1934 roku (na str. 45 i 49). Skąd pp. Johann i Zborski wzięli te swoje bezsensowne informacje do opisu kartki, nie wiem. Wiem natomiast, że wprowadzili oni w błąd 10 tysięcy klientów, a złożeniem autorskich podpisów udowodnili, że historii Zamościa nie znają.

A swoją drogą, dlaczego w tak poważnej firmie, jak KAW, nikt nie zwrócił uwagi na ten bublek?

Marian Zacharczuk Zamość

NAZYWAM SIĘ BORSZEWICZ

W nr 18 „Kamienicy” z 2 września br. opublikowano cztery moje wiersze. Z przykrością jednak informuję, że poważnie zniekształcono moje nazwisko, które winno brzmieć Borszewicz, a nie Barszczewicz.

Jarosław Borszewicz Łódź

Od redakcji: Pana Jarosława Borszewicza przepraszamy za tę przykrą pomyłkę.

FELER

W dodatku satyrycznym „Nos” do 19 nr „Kamienicy” ukazała się frazka „autorstwa” Jana Lechickiego p t. „Zastrzeżenie”:

Byłabyś Wenus z Miło gąby nie twoje sto kilo.

A 18 lat wcześniej, w 1961 r., wyszedł w Wydawnictwie Poznańskim satyryczny tomik Włodzimierza Scisłowskiego pt. „Musi karnawał”, w którym na str. 77 pomieszczona została frazka o takiej treści:

Byłabyś jak Wenus z Miło, gąby nie sto siedem kilo.

(...) Tym razem, co prawda, jest to mały plagiat, bo dotyczy tylko drobnej frazki, a nie jakiegoś większego utworu. Ale niech to będzie ostrzeżeniem dla amatorów cudzych pomysłów...

Stanisław Turczyn Biłgoraj

Od redakcji: Czytelnikowi dziękujemy za informację — w przekonaniu, że i Jan Lechicki zabierze głos w tej sprawie.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyk-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmun Mańkowski, Zygmun Miłkowski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:

- do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
- do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
- do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
- do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki społecznej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH” w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH”, Centrala Kółportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-950 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-19.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamania Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

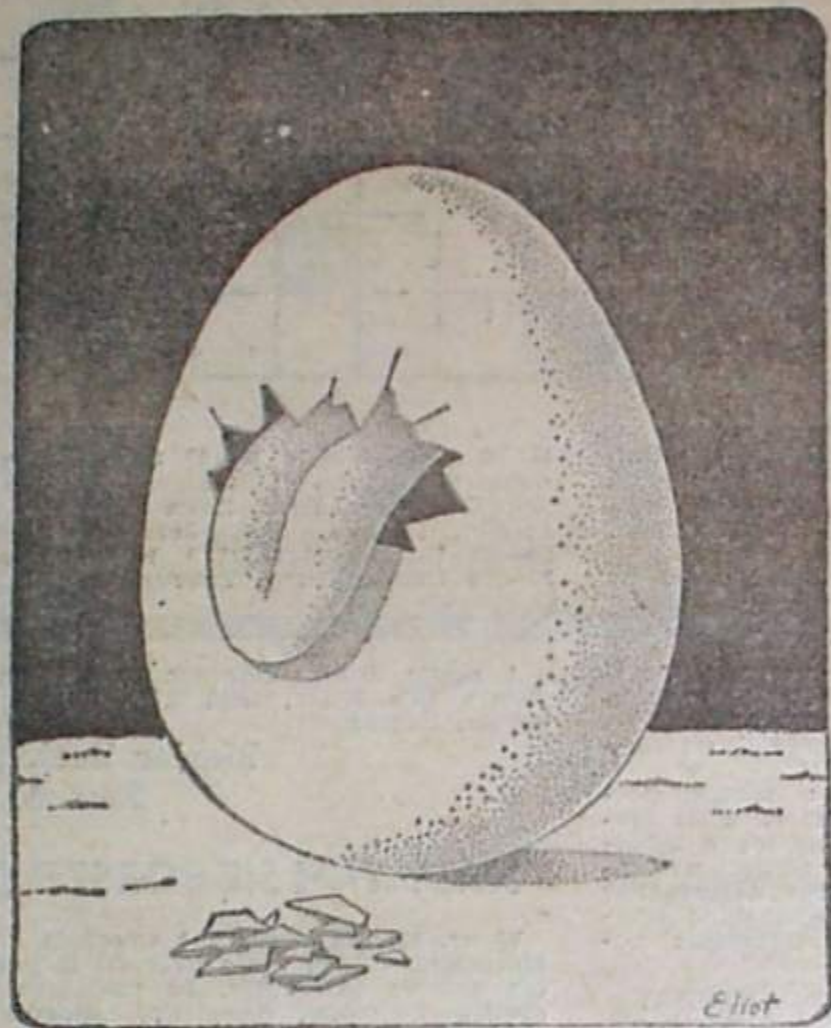
Nr Indeksu 26251

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

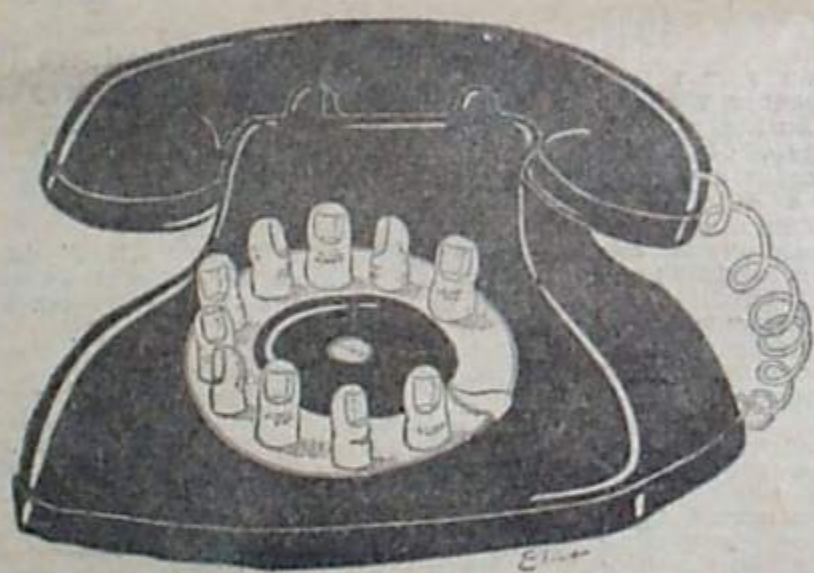
Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-83, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

STAŁY KONKURS NA ZDJĘCIE—DOWCIP



Elis



Rys. Jerzy Ląpiec



Ogłaszamy stały konkurs na zdjęcie-dowcip. Ciekawsze prace będziemy publikować w „Nosie”. Za fotografię zakwalifikowaną do druku płacimy 200 złotych. Przy wysyłaniu zdjęć do redakcji prosimy zaznaczyć na kopercie: „Nos” — konkurs fotograficzny.

Dziś praca Marka Kostrzewskiego.

Władysław Katarzyński

KSIĘŻYCOWY KRAJOBRAZ

Księżyc jak obwarzanek
A pod księżycem przystanek

Opodał słowik w jaśminie
I nad nim księżyc płynie

Tak krąży bez ustanku
Od niego do przystanku

Bo tu, w tych okolicach
Ktoś właśnie spadł z księżyca

Ktoś, kto pomyślał: — pojedę
Dzisiaj zgodnie z rozkładem...

Roman Gorzelski

FRASZKI PRASOWE

Z OGŁOSZEŃ DROBNYCH

Sprzedam albo zamienię
Używane już nieco sumienie.

ANALOGIE WSPÓLCZESNE

Gdybyś nawet był Homerem,
Też cię porównają... z zerem!

KRZYKACZ

Zachowuje ciszę —
Kiedy donos pisze.

O PEWNYM PISARZU

Ostatnio pisał bardzo mało,
Bo już mu „słówek” brakowało.

Marek Barański

O ty, któryś przed obliczem
jak przed domem progi...
Zaiste zasłużenie wyniosły cię bogi
ponad pospolitość oczu, ust i czola.
Nie to, że „Ucho” podstucha, a oko potwierdzi.
Wszak ty w ciemnościach wręcz egipskich zgola
niechybnie orzekniesz — pachnie zacz, li śmierdzi.

Czymże byłby profil
mimo czoło wysokie, uszy dumne, włosy
gdyby nie ty — a więc w górę nosy!!!

Od grypy, kataru niech cię ZOZ ochroni,
oblicza klejnocie, pokuso dla dłoni
w piąść zaciśniętej...

Byłeś i będziesz koroną lic świętą.
Od wód ognistych fioletem nie wzbieraj.
Nie bierz na serio ważkich rad Fillera,
tyś jest najpierwszy, więc śmiało zadzieraj!
Dla ciebie perfumy i dezodoranty,
chustki haftowane, rękaw, tabakiera.
Awangarda z tobą, jeno tyłu anty!

Ujawni i, demaskuj
skąd sądzi, fetor, smrodki.
Niech szczerą przebrzydłe wrogi twoe — wychodki!!!

Nie pozwól się utrzed jako chrzan na tarce,
nie daj się — walcz
i mężniej w walce!

Dajże po nosie, tym co mają „w nosie”,
niech twoja satyra siecze niczem kosa.
Byśmy rzec mogli gromkim głosem
„Nos” — ten to ma nosa!

PANEGIRYK



Obwies

Rys. Wiesław Fuglewicz